

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III

Kraków, dnia 25 sierpnia 1946 r.

Nr 34 (91)

MIECZYSLAW JASTRUN

NOWE WIERSZE

Ziemia zatopiona

Gdybyś w tych zapomnianych, dlatego szczęśliwych
Czasach żyła, w dolinie tej, nad którą czynią
Wiatry szum, do którego człowiek morski przywykł,
Byłabyś pewno nimfą lub nawet boginią.

Nie śmiem o fantych drzewach myśleć i o śniegach
Pian, co tu rozbijały na skałach swój dystych;
Wszystko to utracilem na dalekich brzegach,
Nie istniejących nigdy a tak rzeczywistych.

W kształcie, który ma linie muzyk, w barwie, która
Żywi światło odmienne w swym każdym odcieniu,
Wraca uśpiona pośród morza, jak natura
Silna i zasluchana w szum morza w uśpieniu.

Nikt nie wybiera życia. I tyś nie wybrała
Tej gorzkiej ziemi między wschodem i zachodem,
Tej krainy, co twardo zimuje pod lodem,
Tej mowy, której nie zna świat, jak nie zna ciała

Bogini wykopanej z morza, wonnej jeszcze
Solą i jodem, którą raz we śnie zaskoczy
Pasterz, lecz gdy zbudzona podniesie nań oczy,
Ujrzy w nich kraju swego zatopioną przestrzeń.

Równoczesność

Ty wymawiasz przestrzeń bez imienia,
Która w oczach mych w gwiazdę się zmienia.

Długo na gałęzi i owoce
Patrzą, zanim je w sobie wyłoczę.

Mowa szorstka, którą gardzą inni,
W moich ustach pianę niewinni.

Elektrycznej przestrzeni fala
We mnie głosem ludzkim się zapala.

Promień we mnie ożywa po wiekach,
Cień po drzewie ukrywam w powiekach.

Kwiat sprzed wieków rodzi się i ginie
Przez noc jedną odjęty godzinie.

Koń zabity zwraca ku mnie głowę,
Lśni oczami, udaje niemowę.

Zmarłychwstają we mnie moi zmarli,
Drzwi za sobą nieszczelnie zawarli.

Śnieg do okien mych stuka gwiazdką.
Od tej gwiazdki w oczach mi jasno.

W pamięci

W pamięci postać twą zabalsamować,
Abyś zamknęła w jej czystym bursztynie
Mogła swą piękność młodzieńczą zachować,
W pamięci postać twą zabalsamować,
Pomimo śmierci, która jak krew płynie
Z niejednej rany, w niejednej godzinie.

Blask nocy letniej bił od twoich źrenic,
Róża, rzucając się w płomień, kasała,
W kamień wrastały łodygi zieleni,
Blask nocy letniej bił od twoich źrenic —
Jak umiesz dzisiaj we mnie trwać bez ciała?
Ty, coś w pamięci mej siebie przetrwała.

Łzy moje stłone w kamień się zmieniły,
Twój pierścień uwięziony w bryle soli,
Ja go odkopię dzisiaj z twardej bryty,
Łzy moje stłone w kamień się zmieniły,
Wspomnienie szczęścia już więcej nie boli
I radość łzom już płynąć nie pozwoli.

W pamięci mojej zabalsamowana,
W pamięci mogę cię objąć ramieniem,
Róża wyrasta tam gdzie była rana,
W pamięci mojej zabalsamowana,
Dziewczką jesteś, różą i kamieniem,
Dzielił się ze mną solą i pierścieniem.

Uśmiech

W tyłu spojrzaniach dtopiłem twe spojrzenia,
Z tyłu nocami włosy twe zmieszałem jasne,
Bez wzroku twego, który mrok przemienia
W jarzenie się gwiazd, nie zasną.

Te, które wczoraj ledwo dotykały ziemi,
Mają dziś twarze matek, jak maski bolesne.
Wspomnij mnie dzisiaj i za złe mi nie miej,
Że cię wspominam jak przez sen.

Nie chciałbym nigdy w żadnym innym mieszkać mieście
Niżeli w mieście, w którym mieszkałaś przed laty,
Z gwiazdami chodzić spać, budzić się wcześniej,
Ni innej dotykać szaty.

Szczęśliwa suknia, co kolana twoje opływała,
Szczyśliwy dzień i miesiąc twego cienia pełen,
Szczyśliwa łąka, godzina i skała,
Na której twe stopy spoczęły.

O radości powrotu! o światło powrotu!
Lata ciemności jeden twój uśmiech rozproszy.
Choć zleciał na twarz inną, ile lotu,
Ile w nim czystej rozkoszy!

Wyznanie

Litość zamordowana, ręce krwi pełne,
Myśl jest jak noc bezsenna, której dzień nie kończy,
Twarde czoła okute są kamiennym hełmem,
Wzrok spod przyłbicy kopie w ziemi jak pies gończy.

Szaletstwo jest jak pożar, kiedy się rozlewa,
Morduje ludzi, jak ścina się drzewa,
Aby podpalić kraj tym straszliwym opalem.

Trudna jest walka z ludźmi, którzy żyją z cienia
Gwiazdy, dawno wygasłej, co jest jak mysz martwa,
Trudna jest walka z ludźmi martwego promienia.

Nie przyjmę rąk, na których krew człowieka,
Nie umiem łzom przebaczyć, że nie płyną,
Serce moje surwsze jest od miecza.

FRANCISZEK GIL

Powrót z Kielc

„DO LUDNOŚCI KIELC”... W SKARŻYSKU

Do Kielc przybyłem ostatniego dnia procesu o świcie. Niezbudzone, mimo dnia ciągle jeszcze śpiące miasto, otwierało się szeroko i przestronnie. Od rozległych, na oścież pustych placów i martwych, milczących ulic wiało jeszcze czymś innym niż pustką miast o świtanu. Jak gdyby burza, którą doniosły nam komunikaty — tłum, który tu wzebrał owego dnia, ze wszystkim co żywe odpłynął z ulic. Jak gdyby zabrał ze sobą nawet przypadkowych przechodniów. Bo po ciężko wlokących się patrolach, po otepiałych, z bram niespodzianie wylających strażnikach widać było, że przyszli tu już po tej fall, że zaciągnęli warty już w tej pustce. Człowiek czuł się tu nieswojo zaraz po zejściu z dworca i ciągle jeszcze przerażony. Pustka ogarniała w ulicach i placach zaraz w pierwszych chwilach wędrówek przez miasto, próżnię czuło się w południe na sali sądowej i w próżnię zapadało się w rozmowach. Ludzie przyznawali — „zhańbiliśmy się strasznie”, „rzeczywiście panie to wstyd — w Kielcach, jak świat światem, tego nigdy nie było”, kiwali głowami, ale nic z tego nie wychodziło.

Pierwszą, pięćdziesiąt kilometrów wpród wysuniętą forpocztą tej pustki była samotna odezwa „Do ludności miasta Kielc” na stacji w Skarżysku. Jej strażą ostatnią pojedynczy, długo jeszcze po procesie przed odezwą biskupa Kubiny przystający ludzie. My tam dawno w świecie popodpisywaliśmy oświadczenia i protesty, radiostacje trzech kontynentów dzień i noc nadawały depeze o pogromie i sprawozdania z procesu przed komunikatami z konferencji czterech, gdzieś po wielkich miastach kraju urządzano protestacyjne ze-

brania, a tu ludzie wolno i beznamiętnie rozszyfrowywali zadrukowane, wołające do nich płachty. Na każdym kroku czułem zamieszanie, wystraszenie tym, co się zrobiło. I czuło się skruchę, choć zarówno ci, co ją okazywali, jak i ci, co jej czekali, wiedzieli dobrze, że jest ona nie do przyjęcia. We wszystkich rozmowach, tak samo szczerze, szafowano tu tą bezzadną i niepełną skruchą jak kiwaniem głowy.

Bo nie można było znieść moralnej próżni, która otwierała się w tym mieście po pogromie.

PARKANY NAD SILNICĄ

Z dworca wiedzie do miasta największa i najdłuższa w Kielcach ulica Sienkiewicza. Schodzi ona w dół, w dolinę małej rzeczki Silnicy i stąd dopiero w górę zaczyna się właściwie podnosić miasto. Brzegiem Silnicy biegnie ulica Planty. Dom jest samotny, ze wszystkich stron otwarty. Z lewej wyprzedza go wielkie boisko w tył cofniętej szkoły, z prawej i z tyłu mieści się jego własne obszerne podwórze z zajezdną bramą, naprzeciwko, na drugim brzegu rzeczki, także uliczka i niezabudowane parcele. Za bramą zajezdną, wzdłuż ulicy, ogródek i... parkany. Parkany ogrodów następnych posesji, parkan oddzielający boisko szkolne od ulicy, parkan bramy od podwórza. W pewnej odległości od domu zaczyna w nich brakować sztachet i w miarę zbliżania się ku budynkowi wyrwy w parkanie stają się coraz częstsze, grube, wielkie sztachety poodrywane są w całości, albo poodłamywane kawałkami. Dom stoi zdziobany, z powyłamywanymi drzwiami i futrynami, pusty i wyludniony, czasem tylko połamane, zwisające ramy okien skrzypią na wietrze. O szó-

stej godzinie wieczorem, po trzech falach pogromu, autami, na które sypały się jeszcze kamienie, wojsko wywoziło ostatecznie ocalałą resztę mieszkańców na stadion, do baraków obok koszar. Potem wrócili do miasta, ale już na inną ulicę, zgromadzili się w jednym z ocalałych mieszkań żydowskich obok gmachu Urzędu Bezpieczeństwa.

Było ich w Kielcach stu pięćdziesięciu, razem z przejezdnymi dwustu. Żydzi polscy, wbrew potocznemu złudzeniu całości, są dzisiaj, poza pewnymi wyjątkami, zbiorowiskiem kikutów — synów bez ojców, matek bez dzieci. Niemal każdy ocalały Żyd jest okaleczony. Siłą biologicznego parcia kikuty zrastają się, próbują się łączyć w całości. Jest jeszcze nurt w kierunku złączenia z częstkami rodzinnymi, które wojnę przeżyły w Ameryce i Palestynie, jest chęć opuszczenia na zawsze ziemi, na której nie podobna uwolnić się od historycznego widma ghetto i opasek hitlerowskich.

Prześladuje ono ludzi, którzy jakkolwiek cali, musieli wynieść z okupacji kompleks ułomności. Tymczasem granice obcych łądów nie są zbyt szeroko otwarte, a nurt krwi nie czeka. Ludzie pobierają się. Wiąże się z tym przynajmniej czasowa osiadłość: dzieci, jakie takie urządzenie się. W Kielcach Żydzi próbowali wrócić do życia. „Dawaliśmy sobie już jakoś radę, handlowaliśmy nawet z katolikami w zupełnej zgodzie, każdy już jakoś żył” — opowiadała Żydówka w średnim wieku, która przetrwała masakrę w domu na Plantach. „Wróciliśmy z obozów bez niczego. Katolicy sami się dziwili, że po tym wszystkim tak prędko dajemy sobie radę, że się tak bierzemy do życia. Żyliśmy razem bardzo dobrze. Nikt by nic nie mógł powiedzieć. I nagle tak się stało”...

Masakra według opowiadań rozpoczęła się na pierwszym piętrze w kibucu — ośrodku produktywizacji młodzieży. W internacie tym chłopcy i dziewczęta, którzy spędzili młodość w obozach, uczyli się jakiegoś fachu. Dwie inne ofiary pogromu to matka parotygodniowego dziecka, zabita razem z nim, i kobieta ciężarna, której przebito brzuch zaostrozonym kijem. W szpitalu musiano natychmiast dokonać „cysarskiego” cięcia. W Przytyku tłum rozbijał orczykami nie tylko głowy żydowskie: demolował stragany; obrońca Kowalski nieustannie wysuwał na procesie argument sześćdziesięciu straganów chłopskich, które stanęły po bojkocie i po rozruchach. Tu uderzono w grupę ludzi, którzy nie byli już bezkształtną masą więźniów i repatriantów, ale nie byli jeszcze także społecznością gospodarczą czy biologiczną. Długo jeszcze po pogromie w Kielcach wszystko działało się w jakiejś strasznej próżni. Żołnierze stojący na posterunku przed pustym, zdemolowanym domem odpowiadali na pytanie — kto tu teraz mieszka? — „Tu... Polacy”, a w zdziwienie, co z pozostałymi Żydami — bąkali jakoś nieokreślenie... „To na bezpieczeństwie”; zagadnięta u wylotu ulicy kobieta ostrzegęła z dziwnym uśmiechem — „niech pan tam nie idzie, bo legitymują... najwięcej młodych mężczyzn... Stary, siwy woźny biadał. „Taka hańba... sami nie wiemy jak to się stało”, a w jadłodajni kucharka pytała, „czy to katolicy ich sądzili?”. W Kielcach najpóźniej i najdłużej czytano odezwy, w Kielcach pozostali przy życiu Żydzi mieli jeden jedyny żal, jedyną pretensję — o mękę tamtych przed śmiercią: „Żeby ich byli postrzelali, tylko trzech poszło od kuli”...

PROCES

STANISŁAW WYGODZKI

Czymże był ten proces? Czekający na wejście Trybunału ludzie siedzieli tu jak przed odczytem, przed przemówieniem. Jak wobec czegoś, co dopełniało się poza oskarżeniem i obroną, poza jakąkolwiek argumentacją. Była ciekawość, ale nie było namietności. Jak gdyby na sali tej zasiadły dziesiątki z odrazą od wszystkiego umywających ręce Piłatów. Bo gdybyście ujrzeli tę kielecką próżnię, to tragiczne milczenie, w jakim proces się toczył! To milczenie wyczuwało się w rozmowach na sali. Nawet z przywitania i dyskusyj dziennikarzy trudno było wyłowić gesty tyjące czegoś innego niż „pogody” i „spania”. A był to chyba najgłośniejszy w tych dniach przewód w świecie. Obserwowany przez amerykańskich i angielskich reporterów wysunął się w serwisach światowych agencji prasowych aż przed telewizory z konferencji wytyczającej losy narodów. I mimo to już na wstępie, kiedy ludzie zajmowali jeszcze miejsca na sali, kiedy kładli swe arkusze na stołach i witali się dziennikarze, nie trudno było dostrzec, że ten proces ma jakiś własny, automatyczny bieg: audytorium milczało, nie dyskutowało, nie spierało się, jak gdyby słuchacze zdawali sobie sprawę, że nawet z oskarżeniem, obroną i wyrokiem rzeczy tej nie da się nigdzie umieścić ani z niczym połączyć.

Oskarżeni weszli pochyleni, szybko i jak gdyby chyłkiem. Prócz dwóch spośród młodszych, którzy, nie siadając zrazu, przez krótką chwilę dokładnie zaciesywali obfite fryzury, może zaledwie parę razy spojrzeli na sali w oczy. Siedzieli otepiali, patrzyli jakos bezbarwnie i beznamiętnie, ze śladami sennego zmęczenia, rozładowania. Jak gdyby nie rozeznając się i dziwiąc oskarżeniu, mimo to nie widzieli sensu obrony. Był to od razu, z progą uchwytyny kontrast: ten Najwyższy Sąd Wojskowy na specjalnej sesji „wyjazdowej”, ci prokuratorzy, sprawozdawcy, obrońcy i ta sala, jakby tylko przez szkła patrząca na proces i ci oskarżeni pozostający jakby poza biegiem procesu.

Ławę oskarżonych rozpoczynała Biskupska. Młoda, smukła kobieta w czarnej sukni, o trwało zaondulowanej fryzurze, mieszczanka z jedną klasą szkoły powszechnej. Może przyszła do miasta za czasów niemieckich, a może długo przedtem. Dysponowała wszystkimi zewnętrznymi atrybutami miejskiej wyższości: „pańskim” strojem, mieszkaniem i jego urządzeniem, kinem, kieleckim teatrykiem, defiladą. Była „panią” w mieście i dla niejednego może chłopca na targu miała lekceważące spojrzenie. W tłumie kieleckim krzychała: „Oni mordują nasze dzieci”, w tłumie, który wznośli się do góry i krzychał: „Nie wypuścić ani jednego!”.

Czyż nie była ona symbolem drogi życiowej swoich towarzyszy z ławy oskarżonych? Prawie wszyscy pochodzili z podkieleckich wsi i prócz jednego, byłego podoficera zawodowego, w jednym tylko wypadku mogli legitymować się szóstą najwyższą klasą szkoły powszechnej. Zasiadali tu jako typowi przedstawiciele masy, którą jako mieszczaństwo formowała ostatecznie zbrodnicza epoka niemieckiej okupacji. Epoka, w której setki tysięcy ludzi z dnia na dzień stawali się kupcami, posiadaczami miejskich mieszkań i warsztatów zarobkowych, nie drogą pracowniczego i kształceniowego wysiłku, nie skutkiem zabiegliwości i konkurencji, ale drogą biernego i aktywnego współdziałania w niemieckiej zbrodni, która, czy chcemy to widzieć czy nie chcemy, jednak przesunęła miliony naszych obywateli w lepsze warunki życia. Czy wiele było epok, w których w ten sposób kształtowały się gospodarstwo i etycznie cała wielka warstwa społeczna?

Burza stanęła nad miastem w chwili odczytywania wyroku. Cała sala jeszcze raz w głębokim milczeniu patrzyła na oskarżonych. Kolejno, w miarę padania nazwisk, prostowali się oni uważnie jakby teraz dopiero próbowali nie dowierzać, że zostaną skazani. Sentencja wyroku, którą w skrótach notowali już tylko dziennikarze, była niczym wychnięcie, przedostatnie odprężenie po tamtych parunastu minutach. Biskupska i paru oskarżonych znów zatopili twarze w dłoniach na barierze. Reszta siedziała błada i spokojna, jedynie Mazur, skazany za rabunek i zabójstwo Fischowej, próbował lekceważących gestów, paru półgłównych „zwichenrufów”. Padły ostatnie słowa przewodniczącego o odwołaniu się do ogólnego zgromadzenia sędziów Najwyższego Sądu, o łasce Prezydenta. Stuletni park Zeromskiego mókł niemi i pusty za oknami. Jeszcze raz, jak wszyscy, patrzyłem na ludzi, których skrwawione marynarki leżały na stole obok skrawionych rur i cegieł. Wydało mi się, że gdyby mogli zatrzymać na chwilę ów wychodzący już sąd, bodaj owego żołnierza zbierającego ze stołu pokrwawione sztachety, bluzy i łomy, gdyby mogli swobodnie porozmawiać z opuszczającymi salę współobywatelami swego miasta, zadaliby tylko jedno zadziwione pytanie: „...o co chodzi?... po co to wszystko? ...przebież było się Żydom?”.

POZALUDZKIE I POZACZŁOWIECZE

Hasło „bij Żyda” przez wieki miało u nas inną wymowę aniżeli: „bij Niemca bij Russina!”, „Bij Żyda” to znaczyło wypuścić się,

Gdzieś na gruzach Warszawy się błąka
moja córka jedyna, samotna,
może zobaczysz, może ją spolkasz,
może chodzi na podmiejskich łąkach,
obszarpana, samotna i głodna,
chodzi ulicą, co zwała się Chłodna,
może tam krąży wokół tych domów,
wśród których było nasze podwórze,
ale nie mówi tego nikomu
i samotna staje przy murze
i jest głodna, samotna i marznie,
może ją spolkasz przy Bramie Żelaznej
przytłumioną rozpaczą i troską
wzdłuż tej ulicy co była Marszałkowską
i jest głodna, samotna i płacze

wyszumieć. Jeśli pobiło się kogokolwiek innego, trzeba się było wstydić. Do bicia Żydom można się było przyznać zarówno w rodzinie, jak i w szerszych kręgach społecznych. Żyda właściwie chroniło tylko prawo, tylko przepisy — naskórek bez tkanki. Okrzyk „bij Żyda” był odruchem sadyzmu, nie zmaconym możliwością obrony czy jakiegosi ryzyka. Nie było moralnych konsekwencji. Iuż sprawiedliwych brzydziło się korporantami, którzy wracali z bicia Żydom? Nie odwracała się od nich rodzina, nie gardziło towarzystwo. Iuż ludzie naprawdę nie odczuwali w skrytości, sobie tylko wiadomego, cichego zadowolenia z bicia Żydom? „Bij Żyda” — znaczyło bowiem nie tylko pohulać. Szło o zniszczenie kogoś, kogo się nie lubiło, komu się zazdrościło i kogo uważało się za wroga, ale z kim się żyło. Stąd nagłe i nieoczekiwane pogromy, mierzni obfudy i zakłamania tego współżycia. Spinało ludzi to hasło z owymi mrocznymi stanami, z pochylnią skłonnością, u których początku i kresu może być tylko ów pogromowy „dreszcz” kieleckich podsądnych, owa tragiczna świadomość: „Wtedy oszalałem”. Psychika bijącego jest nieodwracalna: można bić aż do śmierci, aż do unicestwienia tego, co się masakruje, ale nie można przestać. Wstręt i strach przed ofiarą nie pozwalają jej podnieść na człowiecze nogi. Gigantyczna lekcja niemieckiego sadyzmu nie przeszła bez śladu u narodów Europy.

I proces kielecki toczył się w dramatycznej próżni pozaludzkiego i pozamoralnego stosunku do Żydom. Jak gdyby ten sąd dopiero skądś ze świata przywiózł wyższe, szlachetniejsze normy stosunku do takich ludzi jak Żydzi. Jak gdyby w dżungli, rządząca się prawem ludożerstwa, zjechały władze żądające od tubylców stosowania wyższych, szlachetniejszych norm etycznych. Wyszyła z tego deptrymująca dysproporcja dekoracji: najwyższe sądy doraźne, ustawy, imperatywy moralne, prasa, megafony, zagranica — i ci kieleccy ludzie, nie rozeznający się co do swej roli w tym ogromnym przedstawieniu, ex post wstydliwie rozczarowani, zdziwieni w zażenowaniu: „kto by się tego był spodziewał, kto by przypuszczał!”.

Bo cóż mogło kształtować stosunek kilkudziesięciotysięcznej masy kieleckiego drobno-mieszczaństwa do Żydom, masy, której tragicznymi przedstawicielami byli ci oto oskarżeni? W dzieciństwie opowiadania, że Żydzi ukrzyżowali, zamordowali Pana Jezusa i czarne, ruchliwe pogrzeby na kieleckie kirkuty. Obrzezania, chedery, szabasy i biblijne opowieści o kamienowaniu. Pejsy, chałaty, jarmużki, ciemne pannie i katechetyczna nauka, że to naród przeklęty przez Boga i dlatego tak się tulający. Potem niedostępne, ciemne mieszkania za sklepami, świeczniki, czapki na głowach w izbie i w bożnicy. Żyd i pogan to było jedno. Potem sklep i towar, życie w handlu, w którym kupujący czuł się zawsze czymś niższym, oszukany, w którym ten pierwszy żył tylko z pośrednictwa, tylko z obrotu, ten drugi tylko z pracy rąk dającej plon raz na rok albo najwyższej raz na miesiąc. Karczma, targ i lada sklepowa od wieków były stołem biśiadnym, szkołą współżycia dwóch narodów. Targ i lada sklepowa ostatecznie zakreślały krąg obyczajowej i cywilizacyjnej wspólnoty. W końcu przyszły niemieckie ghettta, opaski, niewolnicze kolumny i rowy śmierci dla całego narodu. Więc jednak ci Żydzi nie mogli być dobrymi ludźmi, skoro ich tak Pan Bóg pokarał, skoro taki koniec ich spotkał... Równoległe śmierć Żyda poczęła oznaczać mieszkanie, sklep, biżuterię. Potęgowała obrót, stała się towarem. Wreszcie Żydzi skończyli się. Ucichło. Współczucie dla mordowanego narodu zahamowało ulgę z likwidacji problemu. Był niesmak w tym hitlerowskim zwycięstwie, trudno się było do niego przyznać. Chciano zapomnieć: żeby tak się już skończyło, żeby nie odrzebywać niczego.

Żeby na równych prawach przyjąć z powrotem ocalałe widma, trzeba było buntu a przynajmniej głębokiego poczucia równości z nie-

List w noc

I już wie, że nie będzie inaczej,
ale wychodzi ciągle na dworzec
moja córka jedyna i płacze
i zgłodniała szepce: a może...
i zgłodniała myśli, że może
jeszcze powróci ja i jej matka
i tam chodzi i tkwi do ostatka,
aż przyjezdni wszyscy wychodzą
I zostaje samotna wśród mrozu,
moja córka jedyna, przyjm ją,
gdybyś ją spotkał kiedyś przypadkiem,
a jeśli spotkasz powiedz tej małej,
że dziś jeszcze ocieram ukradkiem
łzę po tej małej, biednej dziewczynce.
co dawno splonęła w Oświęcimiu.

wolnikami w czasach ich niewoli. W chwili oddzielenia Żydom opaskami poczucia tego w przeważającej masie Polaków brakło, choćby dlatego, że nie było go i dawniej. Wielki Hitler w gigantycznym stylu kończył robotę małych hitlerów, senatów akademickich i rad wydziałów, które uchwały o żydowskich ławkach uczyły masy inności, niższości Żydom.

Któż z tych małych hitlerów mógł marzyć o tak wspaniałym numerus nullus! Wielki Hitler załatwił w Majdanku i Oświęcimiu wszystkie przedwojenne wnioski o ten numerus w potężnym, osłupiającym stylu, kończył nieudolne studenckie blokady i sejmowe debaty o uboju rytualnym. Ukazaniem zysków osiągniętych z odczłowieczenia milionów ludzi kupił miliony jeszcze weń nie wierzących. Podziałem zdobyczy kupował sobie u mas poczucie inności i niższości Żyda, uprawniające z kolei do wypraw po następne łupy. Z taką przeszłością wstąpił w naszą łagodną rewolucję, w okres budowy państwa na prawach bezwzględnej równości człowieka i obywatela. Niewolnicy, bezprawni wyszli z powrotem na ulice, zajęli równorzędne stanowiska w wojsku i administracji, z powrotem dorabiają się majątku. Niedługo kraj stał się widownią pogromów, które całkowicie obaliły złudny arytmetyczny stosunek do problemu żydowskiego, dowodząc, że nie ma automatycznego rozwiązania tego zagadnienia w zmianie proporcji ilościowych, lecz w zmianie stosunku człowieka do człowieka.

Ciężkie było milczenie sali sądowej w Kielcach. Bezradnie wykręcali się urzędowi obserwatorzy, uparcie wymijali proces ludzie z kartami wstępu. Trudno było spojrzeć oskarżonym prosto w oczy. Mogli mieć pretensję o swą samotność na tej ławie. Mieli prawo zażądać dostojnego towarzystwa. Senatów akademickich, mężów stanu, profesorów, studentów, polskich twórców „żydowskich ławek” i żydowskich twórców obcych naszej cywilizacji, czarnych, chasydzkich ghett, i żydowskich wyznawców hucpy. Oni to przecież byli ich nauczycielami, twórcami atmosfery, w której odczucie Żyda mogło krystalizować się tylko jako coś niższego, obcego i szkodliwego. Jako coś gadziego, pozaludzkiego.

STRACONA SZANSA
BISKUPA KACZMARKA

Nie robi dobrego wrażenia nieustanne dopominanie się prasy lewicowej o głos kleru, nerwowe dopilnowywanie — czy już — i — czy należy — kler i działacze katolicycy potępiłi zająca. Może uwierzytelnić podejrzenia o słabość lewicy, może prowadzić do przecenienia wpływów i możliwości kleru, jeżeli chodzi o przywrócenie równowagi moralnej w kraju — szczególnie jeśli chodzi o stosunek katolików do ocalałych Żydom. Kościół katolicki, przez usta swych kapłanów, dzień w dzień wytrwale naucza, że nie wolno zabijać, kraść, cudzołóżyć. Domaganie się potępienia od kogoś, kto i tak co niedzielę potępia wszelki grzech, wygląda na niecierpliwą i nieporadny brak zaufania. W Polsce, kraju, w którym z uwagi na zasięg wiary i tradycje, Kościół bezwzględnie aspiruje do moralnego przywództwa narodu — sprawę zachowania się kleru wobec kieleckiego mordu — należałoby chyba rozpatrywać pod kątem co najmniej współodpowiedzialności, przerzucić z płaszczyzny kaznodziejskiej na płaszczyznę postawy czynnej.

Tłum kielecki — ogólnie mówiąc — co najmniej w wybitnej większości składał się z katolików i niewielu tam chyba było bezwyznaniowców, ewangelików, hodurowców czy metodystów. Żądając prawnie zagwarantowanego rządu dusz, chlubiąc się swoim wpływem i pragnąc konstytucyjnego uznania tego wpływu — Kościół musi chyba ponosić jakąś odpowiedzialność za publiczne przyznajmniej czynny swych wyznawców, występujących potocznie w roli żyrantów jego siły.

Dlatego ważniejsza od nagabywania władz kościelnych o deklaracje wydaje mi się dy-

skusja, czy biskup ordynariusz kielecki mógł jako aktywny chrześcijanin uratować mordowanych ludzi od śmierci a swoich wiernych odciągnąć od kainowej zbrodni. Kiedy rozbestwiony tłum wyciągał z izb pojedynczych Żydom i zdeptywał ich na śmierć — pozostał, zabarykadowani w reszcie pokoi dzwo-nili do wojewody, na Bezpieczeństwa do Wojska i do biskupa. Z oświadczenia kardynała Hlonda dla prasy zagranicznej wynika, że na miejsce wypadku udał się jeden z duchownych, podejmując próby uspokojenia rozszalonego tłumu. Kielce nie są wielkim miastem i kuria biskupia mieści się niezbyt daleko ulicy Planty. Wierzę, że gdyby w ciągu tych dziewięciu godzin pogromu ordynariusz kielecki, ksiądz biskup Kaczmarek, udał się na miejsce zbrodni, tłum w jego obecności nie odważyłby się mordować niewinnych ludzi. Trudną miałby on niewątpliwie sytuację, choćby z tego względu, że ludzie z administracji, którzy winni byli bronić porządku i dać odpór tłumowi — sami przechodzili na jego stronę. Musiałby po prostu wystąpić także przeciw nim. Trzeba tu było bohaterstwa i samozaparcia na miarę pierwszych chrześcijan, czystości ich intencji, odważenia się na wypróbowanie siły najwyższego autorytetu moralnego w kraju, którego posiadaczem niewątpliwie Kościół się mieni. Trzeba było Faulhaberowskiej odwagi, spokojnego wzięcia na siebie potwarzy „żydowski wojtek”, a wątpię, żeby ktokolwiek czynnie potrafił porwać się na pasterza diecezji. Jeśli namiestnik Chrystusowy w Rzymie zdołał w imię swego mistrza przyjąć wstawianictwo za łotrem i wrogiem Kościoła, Arturem Greiserem, to jakżeż piękną szansę stracił dla chrześcijaństwa namiestnik kieleckiej diecezji? Ileż zyskałby na tym Kościół, jak bardzo podniósłby się autorytet naszych biskupów w oczach cywilizowanego świata i wiernych!

A tak w Kielcach doszło do jakiegosi moralnego defektu, powstała jakaś moralna próżnia: wierni księdz ordynariusza Kaczmarka chodzą po mieście i czytają częstochowską odezwę biskupa Kubiny.

VETO PLAM NA BRUKU

W Kielcach byłem dwa dni. Deszcz padał rano po przyjeździe, deszcz lunął w południe w chwili ogłoszenia wyroku. Deszcz padał potem w nocy, deszcze i zimno wlokły się za stacjami w drodze do Kielc. Ale kiedy drugiego dnia rano poszedłem przed dom pogromu na ulicę Planty, na bruku pod oknami wciąż jeszcze leżały trzy gęste, brązowe plamy. Tu zrzucono dziewczęta i tłum zarębywał, rozdzierał je na śmierć. Tej samej ciemnobrązowej barwy i tak samo lepka ziemię widziałem na lwowskich „Piaskach” i w dolinach śmierci Janowskiego obozu, tak samo zabarwiała się ziemia zakrywająca rowy niemieckiej śmierci narodu żydowskiego.

Druga część procesu kieleckiego o pozaczłowieczy i pozamoralny stosunek do Żyda, o umożliwiająca zbrodnię wiarę w „macę” — toczy się dalej. Mądry, szlachetny artykuł Stefania Skwarczyńskiego w „Tygodniku Powszechnym” napawa otuchą, że w śmiałym, otwartym podejściu do choroby nie jesteśmy samotni. Pogrom kielecki przedstawia złożony obraz wielu sił świadomych i nieświadomych. Sytuacje, które zachodziły równocześnie i równorzędnie, których nie da się rozbić na kolejność czasową i związek przyczynowy, z których niesposób wydzielić ściśle aktów i scen ekscesów, wystąpień tłumu i oddziałów. W na pół przytomnym pośpiechu popełniono wiele błędów. Najbardziej jednak na przebiegu pogromu, jak widać, zaważyła świadomość milicjantów i żołnierzy wysłanych na obronę: przekonanie, że każą im bronić Żydom, którzy pomordowali polskie dzieci. Niewyrobyony, młody milicjant przyznał rację tłumowi, przyznał rację swoim podejrzeniu w stosunku do Żydom. „Widzicie, coście narobili, patrzcie!” Tak podobno odezwali się do zabarykadowanych mieszkańców domu, ukazując na zgromadzoną tłum.

Mimo że fala życia zarównała tu już tamten dzień, że dogasał on już pod powierzchnią obojętnych słów i gestów, a nurt toczył się najzwyczajszymi podrygami — wiele można było się jeszcze dowiedzieć o pogromie, w wielu rzeczach zorientować dokładniej. Próbowałem nawet to robić. Ale za każdym razem doznawałem niejasnego uczucia, że przyjechałem tu po to, żeby w sobie jeszcze raz szczegółowo na miejscu powtórzyć obraz tej zbrodni, że jakkolwiek bym się pytał, wszystko będzie się obracało w kręgu technicznych szczegółów. Mogłem rozmawiać z prokuratorami, z władzami bezpieczeństwa, z nauczycielami i duchownymi, z wieloma ludźmi Kielc. Ale już w indagacji potocznych ludzi za każdym razem doznawałem wzdrygnięcia, gwałtownej chęci przerwania każdej dalszej rozmowy, i ucieczki od tego wszystkiego. Wszelkie pytania, wszelkie zazierania stawały się w konsekwencji czymś niesmacznym. Tak też krztusiła rozmowa z paroma spośród ocalałych Żydom, bo przecież każdy zwrot był tu ostatecznie tylko pytaniem „jak was mordowano...” Tak na procesie miałem odczucie czegoś, co się tu jedynie tragicznie samo w sobie dopełnia, z czym nie podobna nawiązać żadnej łączności i tak od świtu pierwszego dnia nieustannie wracałem z tego miasta.

wewnętrznych ścianach korowody walczących, niemieckich postaci, żmudnie ułożone z mozaikowych kamyczków, pną się na wielopiętrowe wysokości wzdłuż klatek schodowych. Wizerunki niemieckich matek, winkrustowane w ściany, błogosławiały walecznych synów dżgających bagnety powalonych przeciwników. Ale dziś, postacie niedoszłych zdobywców pozbawione są głów. Zamazali je w pasji prawdziwi zwycięzcy. Colosseum, gdzie odbywały się hałaśliwe parady hitlerowskie, zgruchotał jest częściowo.

Gdy zmiłkiły na zawsze wrzaskliwe surmy bojowych marszów niemieckiej pychy, a mury nie będą już nigdy huczeć przeklętym echem opętanego „heil!“ — jakże trudno ten kraj, latami konstruowany na usługi nieustępliwej agresji, groźny kraj żelaza, ognia i wojny, przeobrazić dziś w łagodną ziemię pokojowej pracy, krainę mleka, zboża i ryb. Przepaść wysadzonych w powietrze mostów i kanałów zasypanych ziemią odcinając ten przylądek zniszczenia od kadłuba tętniącej życiem ojczyzny. Tylko zieleń przedwojennych map i różowy optymizm niefrasobliwych redaktorów próbują sugerować złudzenie, że Ziemia Mazurska leży blisko Wybrzeża, które jest tak silnie związane z nią gospodarczo.

Gdy chodzi się po ulicach Krakowa, Olsztyn wydaje się bliskim sąsiedztwem Gdańska. Co innego tam, na miejscu. Na przebycie 150 kilometrów trasy między Wybrzeżem a Olsztynem musi się zużyć więcej czasu niż na kilkusetkilometrową, równie długą jak uciążliwą podróż z Krakowa do Gdyni. Miara odcięcia kraju mazurskich jezior od słanej wody Bałtyku może być nieważna na pozór spostrzeżenie, iż przeciętny mieszkaniec Wybrzeża wie o uniwersytecie w dalekim Wrocławiu, i o walczyńskim węglu niż o ruinach bliższego Elbląga, czy o malborskim zamku. Jak dostać się do Olsztyna nie umiają powiedzieć ani nadmorscy wyjadacze znający po imieniu wszystkie nazwy lin okrętowych i masztów, ani wszędobylscy kolejarze wymieniający z pamięci minuty odjazdu pociągów, a już w żadnym wypadku „Orbis“, który bez względu na to czy się znajduje w Lublinie, w Poznaniu, czy Sopocie, jak pustelnik oderwany jest od światowego życia i z reguły niczego nieświadczy.

Z Gdańska do Olsztyna trzeba jechać blisko dobę, kolejową pętlą przez Toruń omijając zerwane mosty. Można i przez Tczew, jeśli ktoś lubi skomplikowane przedsięwzięcia. Ze stacji w Tczewie, balansując tanecznym krokiem między wyboistymi kałużami 3-kilometrowej drogi, do promu na Wiśle. Statek imieniem „Cześć“ przeciąga śpiąc ogromną, płaską kryptę wypełnioną ludźmi i byłym na drugi brzeg rzeki. Potem po sykim piachu i wylewnych pastwiskach klusem do szosy — błagać z wymownym gestem szoferów przejeżdżających z chrzęstem samochodów, aby zabrali do Malborka. Bo przyjazdy i odjazdy PKS-owskich ciężarówek są równie trudne do określenia jak dokładne ustalenie daty odlotu i przylotu niektórych ptaków z zamorskich krajów. W Malborku jest pociąg, ale tylko do Elbląga. Więc przed ostatnim pięciogodzinnym etapem podróży utknąć trzeba w tym pokiereszowanym mieście, które przed wojną liczyło 120 tysięcy mieszkańców, a dziś ma ich 12 tysięcy. Nie ubwio tylko bocianów, których białe-czarne setki broczą dostojnie po wilgotnych mokradłach otaczających letargiczne miasto. Gdy po blisko dwóch godzinach godzin mozolnego posuwania się ładem i wodą, po nieomal że całej dobie na przemian nieruchomego czekania i nagłych susów w nieżyczliwą ciżbę ludzką pod brezentem lub dachem wagonu i trudzie tego wszystkiego, co tylko najbardziej niepoprawny lekkoduch mógłby nazwać podróżą, dociera się wreszcie do wojewódzkiej stolicy mazurskiej ziemi, klisza naszej pamięci utrwaliła już dokładnie obraz tego kraju.

Nigdzie w Polsce nie ma sieci tak wyśmienitej utrzymanych dróg, tak bardzo zniszczonych osiedli i takich obszarów nieobsianych pól.

Ciągną się pod Wrocławiem hektary do cna przegniętej pszenicy, do której zebrania nie dopuściły wkruszone w ziemię miny. Ku Zgorzelicom wzdłuż autostrady Berlin—Wrocław, oszalałymi, reminiscencyjami z dzieciństwa, pachnie drobny kwiat rumianku zachwaszczający pola, te pola, których nie zdążyło obsiać. Na żyznych Żuławach nad Zalewem Świeżym krwawią się na polach, zamiast zboża, olbrzymie łany kwitnących maków. Ale nigdzie, tak jak na Mazurach, taśmy idealnie gładkich dróg, po których nie ma kto jeździć, nie przecinają zamkniętych między liniami horyzontu obszarów, aż srebrnych od gęstwiny kłujących krzaków ostu o sztywnych liściach. — Jakby je tu kto umyślnie zasiał — wzdychają markotnie repatrianci, którzy dobrze wiedzą jak uciążliwa jest walka z tym najzłośliwszym i najbardziej nieustępliwym z chwastów. Nigdzie, tak jak na Mazurach, nie można zobaczyć małego człowieczka, który bardzo samotny wśród bezmiaru olbrzymiej, nieuprawnej przestrzeni, na mikroskopijnym poletku ciągnie stękając koleczastą brzoń. Nigdzie, tak jak na Mazurach, kobiety i dzieci nie tną ziemi łopatom, aby ją skłonić do wydania upragnionego plonu.

Zgodnie z wyznaczoną mu rolą, przyczółek pruskiego militarysty brosił się konsekwentnie do końca. Tutaj walki trwały najdłużej i naj-

bardziej były uporczywe. Teraz, do każdego miasta wjeżdża się wśród ruin i wśród ruin z niego wyjeżdża. Olsztyn, zniszczony w 45% cierpi na dotkliwy głód mieszkaniowy, choć ma o 20 tysięcy mieszkańców mniej niż przed wojną. Elbląg, to szczególne miasto, jakby wyjęte z kiplingowskiego opowiadania, gdzie bujna dżungla z namiętną natarczywością wdziera się między ruiny i zarasta je chwacie Setki zdrzutgotanych domów stoją martwo wśród zieleni przepysznych ogrodów. Ścieżki starannie niegdyś gracowane, porośły już jedwabistą darnią, na kłombach między wybujałymi chwastami ledwo widać płomienne tałary cynii i strzępiaste frędzle gwóźdźników Z krzaków, rozpiętych na zwróconych ku południowi ścianach, cicho opadają w zielska morele, których zamszową skórę nagrzały promienie słońca. Na drzewach dojrzewają pierwsze jabłka o cierpkim smaku. Pokrzywy i łopiany pchają się ku górze spomiędzy rębnych cegieł i gruzów. I jest tak cicho, jak tyłko może być wśród umarłych domów. Jedne ptaki drą się triumfalnie, nieuważne na zaszły to zmiany.

— Ich kann nicht weiter — mamrocze rozpaczliwie bezczelnymi dźwiękami, niby duch tego miasta, kościaste widmo starej Niemki, która usadowiona na schodach zrabanej polickiej willi, daremnie, do nieistniejących przedchoźni, wyciąga rękę o jałmużnę.

Jednak wojenny los zrównał sprawiedliwie wielkość różnorodnych domów do jednego poziomu, do wysokości ludzkich ramion. Przez jamy okien widać wypatroszone doszczętnie piecary smrodliwych mieszkań. Na rozprężonym promieniach słońca asfalcie jezdni, porzucony czarny parasol wygląda jak rozpostarte skrzydła nietoperza, co oslepiony blaskiem nie zdołał dolecieć do bezpiecznych ciemności zacisznej piwnicy.

Te ulice, na których nikt już nigdy nie będzie mieszkał, noszą na bezkształtnych szczątkach narożnych kamienie zgrabne tabliczki z imionami. Nazwy: Drzewna, Portowa, Stalowa są już tylko polskimi nagrobkami pogrzebanych arterii.

Stygmat przeszłości naznaczył podobnie domy posadzone z rzadka wzdłuż asfaltowych szos, wśród chmurnego krajobrazu pól naszpikowanych ostami i wilgotnej zieleni niekoszonych od dawna łąk. Okaleczyła je wojna, wymiołł rabunek szczególnie żarłoczny w tym kraju zdziczałym w ciągu długotrwałego zmagania się wojennych okrucieństw. Skąpa ilość budynków w stosunku do ogromu rolniczych obszarów, jakby umyślnie złośliwa puścizna po niemieckiej gospodarce, tamuje potok polskiego osadnictwa, opóźnia dni, w których miliony ziaren zakiełkują wreszcie w mazurskiej glebie. Aby zagospodarować ziemię, trzeba przede wszystkim rozparcelować niezmiernie majątki pruskich junkrów. Lecz gdy z braku pomieszczeń, osad-

kom można ofiarować tylko ziemię pod stopami i niebo nad głową, wtedy ślimaczym płasem posuwa się zaludnianie obszarów.

Tam nawet, gdzie zabudowania ocalały, nie dzwonią łańcuchy, na których uwiązane krowy leniwie przeżuwają pokarm, ani nie bije z wnętrza zabudowań a try zapach końskiego nawozu. Nigdzie, w całej Polsce, katastrofalny brak żywego inwentarza nie ubezwładniał tak gospodarki. Na ponad 200 tys. koni w przedwojennych Prusach Wschodnich dzisiejsza Ziemia Mazurska ma ich (w styczniu 1946 r.) 7217. Krów było ponad 600 tys., jest 3261 sztuk. Ze 100 tys. owiec pozostało 3982, z 800 tys. świń — 2229. Wobec 2,7 milionowej czeredy przedwojennego drobiu stan dzisiejszy liczy się na 12 tys. sztuk.

Bydło, którego dostarcza UNRRA, przyzwyczajone do suchego powietrza amerykańskich pampasów, źle znosi kapryśną wilgoć mazurskiego klimatu. Pada spory procent olbrzymoobłych przybyszów zza oceanu, cenionych tutaj na wagę platyny. Tym większe znaczenie ma aklimatyzujące się tutaj bydło otrzymane z Związku Radzieckiego i inwentarz żywy, którego pokaźną ilość przywożą repatrianci ze wschodu.

Jakże szczególnie dźwięk ma na tej ponuro wydłubionej ziemi słowo — repatriant. Jakże odmienną nutą brzmi w tutejszej atmosferze posępnego romantyzmu i smętkowych melancholii, aniżeli na słonecznym, pełnym rozmachu Śląsku, nasyconym już nieco zastępnymi przybyłymi ze wschodu ludności. Repatrianci, to narzędzie walki z przeszłością tego kraju, to pion teraźniejszości i podwaliny przyszłości, to wiara, nadzieja i miłość mazurskiej ziemi.

Już we wlokącym się nieprzyzwoicie pociągu, wśród nieopisanego ścisłu natłoczonych ludźmi wagonów, mówi się przede wszystkim o repatriantach. Jak duży był ostatni transport? Ilu jeszcze przyjedzie? Co przywiezie?

Przywożą багаż zwykły i niezwykły. Do Łuczana pod Olsztynem ob. Kępczyński przytaczał z Wileńszczyzny swoją hodowlę bobrów, które mu się pięknie na miejscu rozmnażają. Zamierza również hodować srebrne lisy.

Łagodni a jakże uparci wilnianie, o śpiewnej piękności mowy, najlepiej dają sobie radę w tej chłodnej krainie o trochę smutnym oroku. To oni nieustraszenie wygrzebują z ziemi groźny ładunek min, niezmordowanie porządkują spustoszone gospodarstwa, umiejętnie zakładają ogrody warzywne, inspekty i cieplarnie. Przesiedleńcy uważani są przez ludność autochtoniczną Warmii i Mazur za bogaczy. Jest jej już tylko 60 tysięcy przy 170 tysiącach przesiedleńców i 90 tysiącach Niemców. Zniszczeni przez działania wojenne, potraktowani okrutnie i ograbieni przez wojska frontowe i szabrowników przybyłych

PIOTR BOROWY

POWRÓT Z WOJNY

Niepokój był już na niebie w drogach pilotów, kobiety na zachód patrzyły wyjękłe i płacząc, żegnały nas czarwoną ręką — lecz myśmy to wszystko zagłuszyli w marszu piosenką.

I aby ziemia ta była ziemią poetów, a dęby wesały mnie w swoje korony, włożyłem hełm żelazny na mokre skronie i wyszedłem z marsylianką na spotkanie wojny.

W odwrocie

Atak — lecz co można powiedzieć o ścieżkach ostach, o żołnierzach bez nóg zwalonych w ugorze, w którym muszą skonać, w ziemi chudej zostać. Obok ginie wieś, czołgi wjeżdżają w chały, zgasty w oknach gromnie przy Małce Boskiej, trzeba wstać, może pomogą nasze granaty. Nie wiem co powiem, kiedy się nagle zaścoczę, bieć coraz trudniej, ziemi nie ma pod nogami — jak przebiec ten pełny lejów ciemnych wrzesień, groby przed nami?

Po bitwie żyjemy znów nadzieją, w oczach mamy dom swój, piszemy listy, które chyba wiatr zanieśie i strząsamy polne grusze, objadamy jesień. Wieczorem, wokół nas spadają gwiazdy z nieba — to umarli odchodzą przed nami w milczącą noc, w którą nie ma Boga i którego nie potrzeba. I już nie pisz, szare twarze im jałowcem zakryj, krzyże z brzozy urąb, aby mieli mszę zieloną, — podnieś ciepły granat z rosy i przebijać się, gdy lasy ploną.

Zamość, wrzesień 1939

Po wojnie

Powracamy z ostatniego ataku w oczach mamy spojrzenia zabitych, ręce spracowane od granatów. Nad Odrą jest spokój i ziemia czeka,

żołnierskich kości pełna; będą na niej zboża pięknie się rodzić i skowronki w polnych helmach.

W białych wioskach, w przygodnych oczach, odnajdujemy powoli życie, zatracona gdzieś w dudniących nocach. Na drogach czekają na nas wiadra z mlekiem i dziewczyny czerwone jak piwonie — jutro zaśniemy im w rękach łagodni, jest już po wojnie.

maj 1945, Sudety

Patrząc z czołgów

Jedziemy na przelaj przez zielone wioski, skowronki siedzą na anienach czołgów, — jakim szyfrem nadać ich wysokie piosnki. Jest coraz parniej i ziemia chce rodzić, dziewczyny rzucają się we śnie po nocach, patrzą z progów chłopci łakomie na pola — będzie urodzaj.

Jadą czołgi aż huczy w parowach, krew z gąsienic wsiąka w głodne korzenie, — ziemia nie będzie więcej jałowa. Jadą tankiści po dzikim ugorze i kiedy pócwrą tu na traktorach — umarli odrosną znów na polach wysokim zbożem.

maj 1945, Sudety

Słowo ostatnie

Przywykły, że umrę w rudym polu, żyję, zdajmuję hełm z głowy niespokojnej i widzę mak rozkwitły przy mnie, czerwieńszy o jeszcze jedną wojnę.

— Pokój, rdzewieją czołgi przy plebani, płaki wiją gniazda nad minami, zamknij księżę już Apokalipsę, żołnierze poszli w zboża z dziewczynami.

Pogodzony z ziemią zabląkaną w gwiazdach, szukam z nią Ojczyzny i przemijam — wiem, że ten kto będzie ze mnie, nie będzie więcej już zabijał.

lipiec 1945

z aerodynamiczną szybkością, nieuświadomieni narodowo, często gnębieni przez repatriantów i żyjący w trudnej do wyobrażenia nędzy, Warmiacy i Mazurzy żeglować chcą do Niemiec, które się im wydają czulszą ojczyzną niż Polska z tej najnikczemniejszej strony widziana.

Ostatnio cała prasa krajowa rozgorączkowała się troską i żalem nad tragicznym losem tego ludu o polskim „wczoraj“, a niemieckim „jutro“, o ile d z i s nie zostanie otoczony opieką, której pragnie i na którą zasługuje.

Bo z 660 milionów budżetu krajowego rozdzielonych między 14 województw, Ziemi Mazurskiej, temu najbardziej zniszczonemu w Polsce terytorium, przyznano dotychczas zaledwie 12 milionów. A przecież właśnie tutaj prawdziwi pionierzy rolnictwa, przemysłu i oświaty zażarcie walczą z ugorzem, ruiną i niemczyzną. Dotychczas 137 239 ha skrajał dobroczynny pląg, a w 111 437 ha spoczęło ziarno. Spółdzielnie osadnicze parcelują przestrzenie majątków, a 21 spółdzielni rybackich organizuje planową gospodarkę rybną w przysłowiowych tysiącach mazurskich jezior. O 25% spadła wysokość połowu przez pięcioletni czas wojennego niszczenia sprzętu rybackiego i malsakrowania ryb dynamitem. Ale wylęgarnia w Szwederkach już w tym roku wyhodowała 5 milionów sztuk sielawy, 2 i pół miliona sandacza i 2 miliony szczupaka. Kształci się fachowa rybaków, których jest około 200, a potrzeba ich 2 tysiące. Wyrabia się sieci i rybackie narzędzia. Buduje wezdrarnie.

Gdy zakończona zostanie naprawa drogi wodnej z Królówca przez Kanał Mazurski, Pięć, jezioro Nidę do jeziora Śniardwy, 500 tysięcy metrów kwadratowych powalonego w lasach mazurskich drzewa spłynię do miejsca swego przeznaczenia.

Ze szczególną dbałością o przyszły rozwój przemysłu drzewnego, energetycznego i budowlanego odbudowano i naprawiono 1 136 km linii elektrycznej i 30 obiektów przemysłowych. Jest w tym 8 elektrowni, są cukrownie w Malborku, Starym Polu i Rastemborku o zdolności przetwórczej 2 tys. ton buraków cukrowych na dobę.

Jest roszarnia lnu i konopi w Szczytnie produkująca 30 ton papy miesięcznie. Są fabryki drzewne w Pasleku i Olsztynie wytwarzające seryjnie meble biurowe i przedmioty drewniane. Garbarnie w Pasleku i Zalewie produkują skóry miękkie i twarde. Fabryka maszyn rolniczych w Reszlu wykonuje maszyny rolnicze i odlewy oraz trudni się ich naprawą. Pracuje 5 cegieli i kaflarnia. Fabryka wyrobów blaszanych w Elblągu wytwarza sprzęt z blachy cynkowej i cynkowej, a stolcznia w Elblągu przyjmuje coraz więcej ludzi do pracy.

Kadry nauczycieli na wsi warmijskiej, bardziej odcięte od cywilizacji niż Krucze na swej wyspie oblanej oceanem, nauczają z bohaterstwem, które trudno jest uzmysłowić ludziom czytającym codziennie gazety i przywykłym do cudu wody wytryskującej ze ściany, a nie dźwiganej z dalekiej studni. Liczba szkół wciąż wzrasta.

W olsztyńskim zamku, skąd w 1521 roku Kopernik broił zwycięsko Warmii przed Krzyżakami, gdzie administrował podległą mu ziemią i pisał dzieło o obrocie ciał niebieskich, w tej właśnie pięknej budowli mieści się muzeum. Może być z niego dumny nie tylko Olsztyn, ale cały kraj. Zorganizowane, zinwentaryzowane i otoczone najtłkliwym staraniem fachowego kustosa, czarnowłosego malarza Hieronima Skurpskiego, posiada skarby, o których nikt nie wie, choć ich widok niejednego miłośnika sztuki przyprowadził o rozkoszne drżenie serca. Cenne drewniane rzeźby, wstydliwie ukrywane przez Niemców i przesłane kafele ludowe świadczą z milczącą powagą o nicośwralnej prawdzie, zaprzysięgają wielowiekową polskość tych ziem.

Bo kraj mazurski polski był i polski będzie. I choć na razie polska bieda przy boku mazurskiego Śmętka święci tu swoje tragiczne tryumfy, każdy, kto miał okazję uczyć się historii na rocznym bilansie naszych śląskich osiągnięć, kto mógł dynamizm naszego narodu obliczyć na realnym siłomierzu zdumiewających postępów pracy nad odbudową przemysłu — ten wie, że potrafimy zagospodarować nawet kraj budowany przez wroga po to, aby nas zmiążdżyć. Że zdołamy nadać własny kierunek rozwoju tej ziemi gwałconej przez lata narzuconą jej sztucznie, kosztowną strukturą gospodarczą. Sprawimy, że kraina ta zamiast warczeć złowrogą molarami tankietek i aut ciągnących przeciwlotnicze działła, rozszumi się łagodną melodią zboża kołysanego wiatrem, że nie krwawi spłynie lecz mlekiem, a z łąk nie będą się wzbijały bombowce, ale będą się na nich pasły beztroško zwierzęta, ku wieszczorowi wracającemu odcieżałe do odbudowanych zagród. Że Mazurzy i Warmiacy poczują się w swojej ojczyźnie, a repatrianci wrosną w ziemię, którą wydarł chwastom.

Że staną się ciałem stare słowa warmijskiej pieśni ludowej:

O Warnijo, o Warnijo,
Ty ziarnilo swento moja,
Kriso mech przodkow ziano,
Kedy spojrze wszedze ludno
Ty przeliczny raj!
ze nad Cielbie lek Bog mly,
nima w swecie kraju.

Maria Jarochońska

ILIA ERENBURG

W Ameryce

przełożyła ZOFIA MARYNOWICZ

Atlantyk to coś więcej niż polityczne, w rzeczywistości iluzoryczne granice, które oddzielają Belgię od Francji czy Norwegię od Szwecji. Nawet wsie amerykańskie są inne niż europejskie. W ogrodach rośnie tu niebezpieczny chwast; jeśli się go dotknie ręką, na skórze pojawiają się wrzody. Nigdzie nie widziałem takich ulew, takich szalonych burz i takich tropikalnych upałów — przyroda wyraźnie nie ustępuje ludziom wznoszącym drapacz chmur.

Były wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Wallace przywiózł z Rosji truskawki i zasadził je w swoim ogrodzie. Nie poznałem rodaczek: owoce wyrosły ogromne i utraciły zapach. Ludzie, którzy tu przyjeżdżają z Europy, szybko się zmieniają: Ameryka umie rotować umysł i serca. Naród amerykański powstał ze zmieszania różnoplemiennych przybyszów.

Spotkać tu można gazety w najróżnorodniejszych językach: włoskie, polskie, rosyjskie, hiszpańskie, żydowskie. W okolicy Chicago jest okręg zamieszkały przez Niemców, którzy mówią wyłącznie po niemiecku. W olbrzymich fabrykach samochodów w Detroit raz po raz można usłyszeć język słowiański. W dzielnicy włoskiej można się zapoznać z wszystkimi narzeczami półwyspu apenińskiego, a w dzielnicy żydowskiej kupić można chałwę, kiszony ogórek, kołaczki i rosyjską wódkę. W Ameryce jest z dziesięć miast nazywających się Londyn, jest kilka Rzymów, jest Petersburg i trzy lub cztery Moskwy. Każda grupa narodowościowa zachowała swoją odrębność. Jednakże wszyscy imigranci, nie mówiąc już o ich dzieciach i wnukach, czują się Amerykanami.

Mogłoby się wydawać, że w tym różnoplemiennym kraju, zjednoczonym przez młody patriotyzm, powinna panować równość narodowościowa. Jednakże Ameryka, która nie znała feudalizmu, stworzyła u siebie inną hierarchię — rasową.

Arystokracja — to Anglicy, Szkoci i Irlandczycy. Za nimi idą Skandynawowie i Niemcy, potem Francuzi i Słowianie, o wiele niżej Włosi, dalej Żydzi i Chińczycy, jeszcze niżej Portorykańczycy i wreszcie na samym dole drabiny społecznej — Murzyni.

Wiadomo, jaką rolę odegrała Ameryka w wojnie przeciw hitleryzmowi, a mimo to rasizm istnieje tutaj legalnie. Gdy wjeżdżałem do Ameryki, poproszono mnie o wypełnienie ankiety; było tam pytanie: „jakiej rasy — białej czy kolorowej?” Jeśli ktoś ma „kolorowego” prazdiada, uważany jest za „kolorowego” i podlega różnym ograniczeniom. Byliśmy gośćmi rządu i nieraz uśmiechałem się do siebie wyobrażając sobie, w jakiej sytuacji znaleźliby się przedstawiciele departamentu stanu, tak uprzejmie nam towarzyszący, gdyby tak w Ameryce zjawili się Aleksander Puszkini. Byłem w Nashville u pewnego adwokata, który mnie długo przekonywał o tym, że istnieją rasy „wyższe i niższe”. Powtarzał teorie Rosenberga i innych ideologów Trzeciej Rzeszy. Potem pokazał mi portret swego brata, który zginął nad Renem. Ten rasista nie rozumiał gorzkiej ironii losu; chlubił się bratem, który zginął w walce z rasizmem.

Antysemityzm jest w Ameryce zjawiskiem tak bardzo powszednim, że wielu nie zauważa go nawet; dla nich to zupełnie oczywiste, że w tej czy innej instytucji przyjmuje się do pracy tylko aryjczyków, bądź, że do niektórych hoteli nie wpuszcza się Żydów. Na Zachodnim Wybrzeżu pariasami są Chińczycy. Istnieją kluby, stowarzyszenia, organizacje, które nie przyjmują Włochów, jako „niższych”. Szczególnie tragiczny jest los Murzynów. Jest ich w Stanach Zjednoczonych dwaście milionów i można powiedzieć, że co dziesiąty Amerykanin jest pozbawiony wszelkich praw ludzkich.

Mieszkańcy New Yorku lubią podkreślać liberalizm Północy: „Nasi przodkowie walczyli o zniesienie niewolnictwa...”. W każdym mieście południowym zobaczyć można pomnik żołnierzy armii Południa. To — pomnik dla pokonanych — wszakże w wojnie, która wstrząsnęła Ameryką, południowcy zostali rozbici. Mnie jednakże wydawało się nieraz, że to pomniki nie pokonanych, ale zwycięzców, bowiem Południe nie tylko zachowało w zasadzie niewolnictwo, ale potrafiło jeszcze, w pewnym stopniu, przeczepić je na Północ. I rzeczywiście, w New Yorku równouprawnienie ras istnieje tylko w teorii. Nie wolno wypędzić Murzyna z restauracji dlatego tylko, że jest czarny. Jednakże nie wpuszcza się Murzyna do żadnego przyzwoitego lokalu, a jeśli ten się upiera, mówi się mu, że puste stoliki są zajęte. Murzyn nie otrzyma pokoju nigdzie poza murzyńskim „ghettem”. Może pracować w jakiegokolwiek dzielnicy, ale mieszkać musi w Haarlem. Haarlem to murzyńskie miasto, brudne i ubogie, nieszcześliwe i mimo wszystko wesołe. Mieszkańcy New Yorku przyjeżdżają, by zabawić się w kabinach Haarlem. Murzyni — to najlepsi muzykanci i tancerze Ameryki; są obdarzeni świetnym wyczuciem rytmu i nie ma w nich tego zmechanizowania, które spotyka się u in-

nych Amerykanów. W centrum New Yorku są teatry, gdzie grają zespoły murzyńskie; grają rzeczywiście przepięknie i biali chętnie oklaskują Murzynów. Ale jeśli aktor-Murzyn zechciałby coś przekazać w restauracji obok teatru, w którym gra, wyproszą go najspokojniej w świecie.

Istnieje pewien ulubiony kawał spekulantów: kupuje się dom w pięknej dzielnicy i osadza się w nim jednego Murzyna. Natychmiast dzielnica staje się zapowietrzona, wszyscy biali wyjeżdżają. Spekulant skupuje

się Murzynów. Wśród wyborców stanu jest czterysta dziewięćdziesiąt sześć tysięcy białych i cztery tysiące Murzynów. W Birmingham jest sto trzydzieści tysięcy Murzynów, którzy przekroczyli dwudziesty pierwszy rok życia, a Murzynów-wyborców jest wszystkiego tysiąc czterystu. W jaki sposób południowe stany obchodzą federalną konstytucję? Na to jest wiele sposobów. Przede wszystkim podatek, jaki się ściąga z wyborców. Po wtóre — „egzamin”; wyborca musi znać i „umieć interpretować” konstytucję. Oczywiście, „egza-

minatorzy” „oblewają” wszystkich Murzynów. Wreszcie, jeśli tu i tam Murzyni zapłacą podatek, złożą „egzamin” i skierują się do urn wyborczych, dozorczy niewolników mocnymi kijami odpędzają nieproszonych wyborców. Nie ma co mówić, w południowych stanach naprawdę umieją „interpretować” konstytucję! W stanie Missisipi Murzyni stanowią połowę ludności i połowa mieszkańców pozbawiona jest prawa głosu. Wszystko to robi się dosyć cynicznie i wiedzą o tym dobrze wszyscy Amerykanie, zarówno na Południu, jak i na Północy.

Będąc w stanie Missisipi przypominałem

dwie czy trzy rodziny murzyńskie, zawałał zawstydzony: „Czyżby to było możliwe?... Wuj Sam spotkał się z wujem Tomem. Delta Missisipi — to plantacje bawełny. Ziemia należy tu do białych i oni wydzierżawiają ją czarnym. „Arendarze” muszą oddać połowę bawełny właścicielowi ziemi, drugą zaś część zobowiązani są sprzedać tymże właścicielom, którzy sami ustanawiają cenę; pieniądze, które Murzyni otrzymają, mogą wydać tylko w sklepach należących do tych panów. Mimo że prawnie wygląda to jak аренда, w rzeczywistości jest to niewolnictwo, a właściciel ziemi jest tym, który skupuje bawełnę, handluje obuwem, naftą i solą, objeżdża swoje plantacje, krzyczy na Murzynów, wydaje rozkazy, słowem zachowuje się jak cesarz i jak bóg.

Widziałem rodzinę, która zarabia trzysta dolarów na rok i inną, która zarabia tylko dwieście dolarów rocznie. Właściciel plantacji był jednym z pomniejszych właścicieli. Powiedział mi, że ubiegły rok był „niepomyślny” i on zarobił tylko dwadzieścia pięć tysięcy dolarów...

W jednym domu żyje dwadzieścia troje osób; śpią pokotem. O, jakże daleko stąd do osławionego amerykańskiego komfortu, lodowni, wind i gumy do żucia! Missisipi, szeroka i jaskrawo-żółta rzeka widzi niedolę, czarną niedolę czarnych ludzi...

W New Yorku mówiono mi często, że w Ameryce młodzież musi uczęszczać do szkoły do szesnastego roku życia. Bujda... Widziałem na Południu wyrostków, którzy nie oglądali szkoły i od najmłodszego dzieciństwa znają tylko jedno — katorgę pracy.

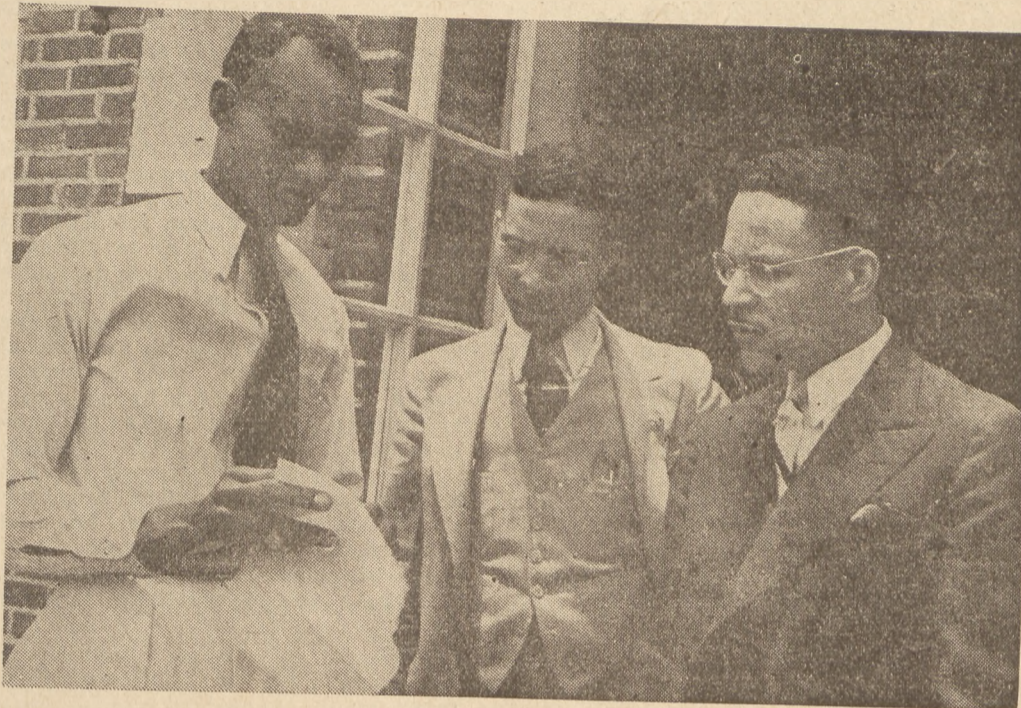
W ultrahigienicznej Ameryce ludzie żyją jak w chlewie. Kiedy kobieta ma ciężki poród, nie doczeka się pomocy; wizyta lekarza musi kosztować sześćdziesiąt dolarów. A to przy rocznym zarobku dwustu dolarów...

A władcy niewolników uśmiechają się: „Wy nie znacie Murzynów. Oni żyją jak w raj — im przecież niczego więcej nie potrzeba”.

Ostatnie lata przyniosły rozbudowę przemysłu na Południu. Gigantyczne budownictwo w dolinie Tennessee podjęte z inicjatywy Roosevelta, przyczyniło się do obniżenia kosztów produkcji energii elektrycznej oraz do wzmożenia industrializacji siedmiu stanów. Byłem w wielkim centrum przemysłowym w Birmingham. Nie ma tu wprawdzie plantacji bawełny, ale i tu czarni są niewolnikami. We fabrykach wykonują oni tylko najcięższą pracę; nie mogą być ani hutnikami, ani mechanikami, ani elektrotechnikami. Czarny robotnik otrzymuje za godzinę pracy wynagrodzenie o piętnaście centów niższe niż biały.

Rasizm przeniknął także do amerykańskich mas robotniczych; umarli chcą zarazić trupim jadem żywych. W Ameryce jest wiele związków zawodowych, na których czele stoją awanturnicy i demagodzy; ludzie ci wmawiają białym robotnikom, że zło leży nie w chciwości białych chlebobawców, ale w czarnej skórze głodnych „konkurentów”. Dopiero w ostatnich latach powstały związki zawodowe jednoczące zarówno białych jak i czarnych ludzi pracy. Inne znów, szowinistyczne (ściślej mówiąc rasistowskie) organizacje nie chcą dopuścić Murzynów do pewnych określonych rodzajów pracy; spowodowało to strajki a nawet istne pogromy. Na Południu czarni robotnicy mieszkają oddzielnie od innych robotników, żyją o wiele gorzej i biedniej niż inni, dla nich pozostaje tylko osamotnienie. Są zupełnie izolowani. — Pewien robotnik — Murzyn, przewodniczący związku zawodowego, człowiek odważny i kulturalny, z tą mądrością, jaką dają lata doznanych cierpień, opowiedział mi, że ani razu biały kolega go nie odwiedził ani nie zaprosił go do siebie.

Właściciele niewolników zapewniają, że nie trzeba udzielać Murzynom żadnych praw, bo oni i tak są „bez kultury”. Osobiście spotkałem na Południu wielu wykształconych Murzynów — uczonych, pisarzy, lekarzy i adwokatów. Na tle Południa, gdzie jest niemało białych w istocie dzikich (choć i wyposażonych w dyplomy), ci czarni odbijają jak nieoczekiwane jasne plamy. Należy przy tym zauważyć, że władcy niewolników, mówiący o budnie o zacofaniu kulturalnym Murzynów, robią wszystko, żeby nie dopuścić „kolorowych” do wiedzy. Nie chcą przez to bynajmniej powiedzieć, że pragną oni może pozyskać dla wiedzy białych: „demokraci” Południa przedkładają bat ponad elementarz. W stanie Missisipi nauczyciel otrzymuje sześćset dolarów na rok — jest to naprawdę żebrać płaca. Ale sytuacja czarnych nauczycieli jest jeszcze gorsza. Ci nie mają nie tylko takich warunków bytu, ale i pozbawieni są wszelkiego prawa do ludzkiej godności. Kiedy inspektor, oczywiście biały, przyjeżdża do murzyńskiej szkoły, woła nauczyciela, jak smarkacza, po imieniu, choćby to nawet był stary, słowosy Murzyn: „Ej Sam!... Ej Bill!...”; natomiast nauczyciel winien zwracać się z uszanowaniem do każdego białego, najmłodszego nawet żółtodzioba: „Mister Smith... Mister Davis”...



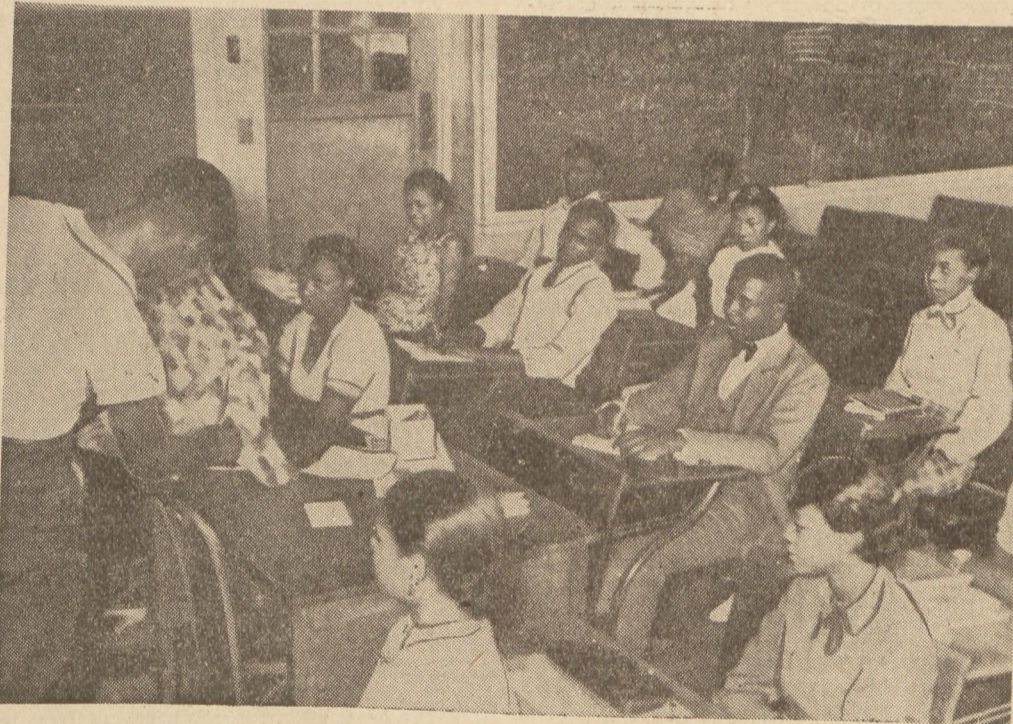
Murzyńscy intelektualiści z południowych stanów U. S. A.

za bezcen sąsiednie domy, wysiedla tego jednego Murzyna, dzielnica przestaje być „trefna”, a domy rosną w cenie.

Mimo wszystko, żeby w pełni pojąć położenie Murzynów w Ameryce, musi się zobaczyć Południe. Kiedy nas spytano, którą część Ameryki chcielibyśmy zobaczyć, moi współtowarzysze odpowiedzieli „Kalifornię... Chicago...”. Ja wybrałem stany południowe — przypomniałem sobie opowieści czytane w dzieciństwie, powieści Steinbecka i Falknera, zachciało mi się nagle zobaczyć, czy rzeczywistość podobna jest do literatury. I tak, po drapaczach chmur w New Yorku ujrzałem

minatorzy” „oblewają” wszystkich Murzynów. Wreszcie, jeśli tu i tam Murzyni zapłacą podatek, złożą „egzamin” i skierują się do urn wyborczych, dozorczy niewolników mocnymi kijami odpędzają nieproszonych wyborców. Nie ma co mówić, w południowych stanach naprawdę umieją „interpretować” konstytucję! W stanie Missisipi Murzyni stanowią połowę ludności i połowa mieszkańców pozbawiona jest prawa głosu. Wszystko to robi się dosyć cynicznie i wiedzą o tym dobrze wszyscy Amerykanie, zarówno na Południu, jak i na Północy.

Będąc w stanie Missisipi przypominałem



Szkoła murzyńska na południu U. S. A.

chatę wuja Toma i muszę przyznać, że chata ta niewiele się zmieniła.

We wszystkich południowych stanach istnieje prawo „podziału na rasy”. Nie zabroniono wprawdzie Murzynom korzystać z kolei żelaznych, ale muszą oni jeździć w osobnych (wiecznie przepelnionych) wagonach! W tramwajach również są odgródzone, z tyłu, miejsca dla Murzynów. Wóz często odjeżdża prawie pusty, a Murzyni stoją i czekają na następny, bo — nie było dla nich miejsca. Murzyni nie mają prawa uczestniczyć w zebraniach białych, nie wolno im wejść do kościoła, gdzie modlą się biali i oczywiście nie śmiały nawet marzyć o teatrach czy kinach dla białych.

Konstytucja Stanów Zjednoczonych głosi, że w wyborach mają prawo brać udział wszyscy obywatele i obywatelki. Mimo to Murzyni w stanach południowych pozbawieni są prawa głosu. W stanie Alabama na trzy miliony mieszkańców przypada milion sto ty-

sobnie, jak bardzo niektórzy dziennikarze amerykańscy byli zgorznięci, że jugosłowiański rząd Frontu Narodowego odebrał prawo głosu osobom, które pomagały niemieckim okupantom — około dwustu tysiącom ludzi. Ci sami amerykańscy dziennikarze uważają za rzecz zupełnie naturalną, że miliony amerykańskich Murzynów (wśród nich i ci, którzy brali udział w wojnie o wolność Ameryki) pozbawione są prawa głosu. Miałbym ochotę zapytać moich amerykańskich czytelników: co jest bardziej sprawiedliwe — pozbawiać prawa głosu ludzi o czarnym sumieniu, czy o czarnej skórze?

Mieszkańcy Północy wiedzą o tym, że na Południu Murzyni pozbawieni są praw politycznych. Jednakże i oni nie wyobrażają sobie, jak straszne jest życie Murzynów na Południu. Jeździł z mną jeden z popularniejszych dziennikarzy nowojorskich, Sam Grafton. Ujrzawszy lepiankę, w której gnieździły się

W stanie Alabama wszystkie sumy przeznaczone na oświatę ludową oddano na rzecz białych. Żeby mieć czyste sumienie wezwano profesora Murzyna i zaczęto mu wywodzić, że budżet jest ograniczony, że pieniądze zostały już wydane itd. Murzyn odpowiedział bardzo mądrze: „Macie rację. Białym oświata jest jeszcze bardziej potrzebna...”

Byłem w prywatnym murzyńskim uniwersytecie Fisc; jest tam siedemset studentów i studentek. Zostaną oni kiedyś lekarzami, nauczycielami czy adwokatami; ale wolno im będzie leczyć tylko Murzynów, uczyć tylko murzyńskie dzieci. „Kolorowi” profesorowie i studenci nie mają prawa wstępu do biblioteki publicznej. Profesor Breddy, szanowany ogólnie chemik, mówił mi, że nie wolno mu pracować w laboratorium uniwersytetu państwowego.

Na uniwersytecie Fisc studiuje młoda Rosjanka — jej matka pochodzi z Odessy, ojciec jest Murzynem. Mówi po rosyjsku i zewnętrznie zupełnie nie wygląda na Murzynkę. Ale w paszporcie ma napisane: „kolorowa” i podlega ustawie o „podziale rasowym”. W New Orleansie zawarłem znajomość z pewnym architektem. Był rudy i piegowaty. Okazało się, że jest to jeden z najbardziej wykształconych ludzi w mieście. Chciałem pójść z nim do kawiarni, ale on wymówił się od pójścia. Dopiero potem inni wyjaśnili mi, że jest on białoskórym Murzynem i, co za tym idzie, nie ma prawa wstępu do kawiarni...

Prócz praw pisanych istnieją jeszcze na Południu prawa niepisane. Biały może zgwałcić Murzynkę i nie poniesie za to żadnej kary. Ale niech się Murzyn zejździe z białą kobietą, zaraz oskarżą go o gwałt i posadzą na krześle elektrycznym. Sprawiedliwość na Południu bardzo przypomina sąd Lyncha. Niedawno w Albeville sześciu białych zgwałciło dziewczynę murzyńską. Sąd nie „znalazł w tym cech przestępstwa”. W Pessemore Murzyn, jadący w tramwaju, przekroczył o kilka centymetrów dozwoloną „granicę”. Motorowy

zranił za to Murzyna. Co się stało potem? Zandarmi aresztowali nie białego motorowego, ale Murzyna i na wszelki wypadek do bili go. W mieście Columbia przekazano sądowi trzydziestu Murzynów. Za co? Biali, urządziwszy pogrom, zabili dwóch Murzynów i ranili dwunastu. Pogrom nazywa się tu „rasowe rozruchy” i odpowiedzialność za nie ponosić mają nie zabójcy, ale ojcowie, bracia i synowie zabitych. Długo rozmawiałem z pewnym adwokatem z Jackson, który próbował rażować od stracenia niewinnie zasądzonych Murzyna. Powiedział mi, że w rzeczywistości nikt nie wątpi w jego niewinność, ale są biali, którzy świadczą przeciw niemu, a sąd nie może uwierzyć czarnym a zlekceważyć zeznań białych, choćby to byli nawet fałszywi świadkowie. Na Południu Murzyni nie mogą być przysięgłymi. I sąd nie uniewinnia Murzynów. Ale jeśli na ławie oskarżonych znajdują się ludzie, którzy linczowali Murzyna, uniewinnienie ich jest pewne.

Na czele władców niewolników stoi senator Bilbo, rudy demagog z czerwonym nosem, zjednujący sobie zwolenników nieprzyzwoitymi anegdotami i burzliwymi hasłami w rodzaju „okiełznać Murzynów”. U siebie w domu pije on whisky, u ludzi tylko mleko. Bilbo niby to zaproponował, żeby wysiedlić wszystkich Murzynów amerykańskich do Liberii. Ładnie by wyglądali ci panowie niewolników bez nich! Wszyscy zresztą wiedzą, że to senator powiedział, to był tylko frazes. Wystąpienia jego mają na celu zastraszenie „kolorowych”: jest on senatorem stanu Missisipi, gdzie czarnych jest nie mniej niż białych, i gdzie biali często kułają się ze strachu na myśl o masie nieszczęśliwych, rozgoryczonych ludzi, którym może się kiedyś znużyć śpiewanie alleluja i czekanie w kolejce na powieszenie.

Wielu Murzynów przebywało w Europie: bili się oni za Amerykę z rasistowskimi Niemcami. Widzieli, że w Paryżu czy w Rzymie nikt nie patrzył na nich jak na zadumionych. Wrócili do domu jeszcze bardziej roz-

goryczeni. Południe jest w przededniu decydujących wydarzeń: albo władcy niewolników ustąpią, albo Murzyni — wczorajsi żołnierze frontowi, zaczęli walczyć o równość.

Jestem przekonany, że w końcu rasizm zostanie wypłeniony i w Ameryce. Trzeba jednak zrozumieć, jak wielkie nasilenie ma ta choroba i jak głęboko przeniknęła ona do mózgu przeciętnego Amerykanina. Ja osobiście nie spotkałem na Południu ani jednego białego, nie zarażonego rasizmem. Jeden z najszlachetniejszych ludzi, namiętny przeciwnik niewolnictwa, powiedział mi w szczerzej rozmowie: „Ja sam bronię Murzynów. A przecież — mimo wszystko dla mnie nie są to ludzie. Bawiłem się wczoraj z małżeństwem naszej służącej — Murzynki i przytapałem się na myśl, że nie bawię się z dzieckiem, ale z miłym szczeniakiem...” Rasizm zaraził nawet prześladowanych: spotykałem Murzynów-antysemity i Żydów, prześladowanych o wyższości rasy białej nad czarną.

Amerykanie lubią pić mieszanki z różnych napojów spirytusowych, tzw. cocktaile. Wśród całego ich mnóstwa jest jeden zupełnie podobny do tęczy — likierzy żółty, szmaragdowy i czerwony, nie mieszając się w kieliszku, układają się różnokolorowymi warstwami. Mieszają się dopiero w ustach smakosza. Często myślałem o tym likierze patrząc na rasowe warstwy Ameryki. Jakie to dziwne, że idea „czystości” rasowej znajduje zapalnych zwolenników w kraju, którego siła leży właśnie w tym zmieszaniu różnych narodowości. Można lubić cocktaile albo ich nie lubić, ale trudno wyobrazić sobie barmana, przygotowującego mieszankę, który by się upierał przy zachowaniu czystości, stanu i jakości tego napoju. Poza tym widziałem w Ameryce rasistów, broniących idei przewagi rasy amerykańskiej nad innymi narodami. Za cóż więc umierali żołnierze Ameryki w Normandii i nad Renem?

Znany dziennikarz Lippmann, przeczytawszy mój artykuł o Ameryce oświadczył, że ja kry-

tykuję to, co najłatwiej jest krytykować — nietolerancję rasową; Amerykanie sami znają tę swoją wadę i są szczęśliwi, że mogą swoje wady ujawniać Lippmann mówi, że dopiero wtedy on, Lippmann, zgodzi się uznać nas, ludzi radzieckich za „prawdziwych ludzi”, kiedy będziemy zdolni ocenić zalety Ameryki i kiedy potrafimy krytykować własne wady. Tak, wiem, że najlepsi ludzie Ameryki wstydzą się swego stosunku do Murzynów. Ale, moim zdaniem nie ten lekarz jest dobry, który leczy, ale ten, który wyleczy. Murzynom wcale nie będzie źle, jeśli Lippmann uzna senatora Bilbo za zło, bowiem Lippmann pisze artykuły w New Yorku, a Bilbo i jemu podobni ciemiężą Murzynów w Missisipi. Co się zaś tyczy nas, nigdy nie odmawialiśmy zalet Ameryce i nigdy nie ukrywaliśmy, ani przed sobą ani przed innymi, naszych braków. W Ameryce są np. cudowne telefony, w New Yorku łatwiej rozmówić się telefonicznie z San Francisco, aniżeli w Moskwie z Tułą. W Ameryce są też wspaniałe samoloty pasażerskie, które odlatają co godzina z miasta do miasta, w dzień i w nocy Lippmann może, że ograniczam się do pochwały techniki? Nie, pisałem już też o tym, jak bardzo lubię amerykańską literaturę. Sądzę, że my możemy się wiele nauczyć u amerykańskich pisarzy, amerykańskich architektów, a nawet (pomijawszy przeraźliwą banalność przeciętnej produkcji) u amerykańskich reżyserów filmowych. Znamy nasze wady. Mamy oczy otwarte na naszą biurokrację, naszą niekiedy ordynarność, niekiedy zacofanie techniczne, jednak nie po to tylko, żeby zło odkrywać, lecz po to, żeby ulepszać. Ale niewolnictwa u nas nie ma, i istotą rzeczy jest nie to, czy Lippmann uzna nas za ludzi, tylko to, czy my uznamy za ludzi rasistów i władców niewolników.

Wierzę w wielką przyszłość Ameryki i jestem przekonany, że naród amerykański już wkrótce wyleczy się z tej najokrutniejszej i najbardziej haniebnej choroby.

Ilia Erenburg
przełożyła Zofia Marynowicz

KRYSTYNA KULICZKOWSKA

„Budujemy mosty dla pana starosty” czyli o czasopiśmie dla dzieci i młodzieży

ILIOŚĆ CZY JAKOŚĆ

Przypomnijmy sobie, co się działo w dawnych, niezbyt dobrych, ale lepszych pod względem papieru czasach — na rynku czasopism dla dzieci i młodzieży. Ukazywało się zaledwie parę tygodników o dużym nakładzie, docierających do wszystkich dzielnic Polski. Były to (w różnych okresach): „Moje Pisemko”, „Iskry”, „Piomyk”, nieliczne czasopisma specjalne („Młody Technik”). Niektóre tygodniki popularno-pedagogiczne (np. „Młoda Matka”) prowadziły dodatki dla dzieci, starannie wydane, zawierające wierszyki i artystyczne wycinki, podobnie tygodniki popularne („Przewodnik Katolicki”), a niektóre poczytne pisma codzienne poświęcały dzieciom dwie strony numeru niedzielnego. Cokolwiek dałoby się powiedzieć o poziomie przedwojennych czasopism, a zwłaszcza o ich bezproduktywności pedagogicznej i jałowości społecznej (wyjąwszy „Piomyk”) — należy stwierdzić, że na ogół nie było w tej dziedzinie rozrzutności i grafomanstwa, że nie groził nam, jak obecnie — zalew pism, pisemek i piśmideł...

A sprawa jest naprawdę niepokojąca. Dość powiedzieć, że jednorazowy plon czasopism otrzymanych z redakcji „Odrodzenia” obejmuje 18 pozycji, które na pewno nie stanowią kompletu, zważywszy niedomogi dzisiejszego kolportażu, a zwłaszcza dopływu egzemplarzy recenzyjnych. Czy to aby trochę nie za dużo? Czy to nie jest jakiś złośliwy bakcyl, który należy tępić, by słowo drukowane nie mnożyło się bez ograniczeń? Pewien nadmiar czasopism dla dorosłych można poniekąd usprawiedliwić ograniczoną liczbą wydawanych książek, lecz, jak wiadomo, dzieci nie są pod tym względem pokrzywdzone. Wystarczy przytoczyć liczbę pozycji z jakiegokolwiek katalogu księgarskiego (np. Michała Kowalskiego, Katowice, maj 1946). Księgarnia ta podaje własne wydawnictwa dla dzieci w liczbie 63, dla młodzieży — 13, książek dla dzieci i młodzieży innych wydawnictw, które posiada na składzie — 63. Zważywszy jakość tego dorobku, jest on stanowczo zbyt obfity...

Ten przerosł ilościowy w dziedzinie wydawnictw dla dzieci musi odbić się na jakości przede wszystkim dlatego, że dysponujemy ograniczonym zasobem sił pisarskich w dziedzinie twórczości dla dzieci. Im więcej książek, im więcej pism, tym bardziej rozpraszają się autorzy, tym bardziej tuzinkowe, szablonowe są ich utwory. Czy jest to np. zjawisko normalne, że w Łodzi, z której, jako z centrum, rozchodzi się po całej Polsce wydawnictwa „Czytelnika” — wychodzą poza „Świerszczykiem” i „Przyjacielem” jeszcze dwa tygodniowe dodatki dla dzieci do pism codziennych z udziałem tych samych sił, które współpracują w powyższych, wyłącznie dla dzieci przeznaczonych pismach? Mści się to zarówno na „Świerszczyku” jak na dodatkach.

Czyż nie byłoby rozsądniej zgrupować wszystkie siły, zdolne do twórczej pracy w tej dziedzinie, wokół paru czołowych organów prasowych, podwyższyć ich poziom, powiększyć nakład i obniżyć cenę kosztem likwidacji bezwartościowej makulatury? Tego rodzaju organizacja czasopiśmiennictwa dla dzieci szłaby na pewno po linii ich dobra.

CZY DLA DOBRA DZIECKA?

Przeglądając dzisiejsze książki dla dzieci i młodzieży, przerzucając czasopisma, dochodzimy do smutnego wniosku: oto bardzo niewiele wydawnictw powstało z prawdziwej troski o dobro umysłowe i zdrowie psychiczne dziecka — reszta, to produkty uboczne, które zrodziły się z innych pobudek i służą innym celom. Jakież są te cele? Mówmy po prostu, zaznaczając oczywiście stanowiska najbardziej krańcowe: są to cele finansowe, reklamowe lub propagandowe. Nie trudno zrobić pieniądze na jednej sprytnie zrzuconej na rynek książeczce dla dzieci, bowiem rodzice odmówią sobie najniezbędniejszych rzeczy, a jednak dziecku parę razy do roku kupią książkę z obrazkami, a dzieci, to wdzięczni, bezkrytyczni odbiorcy... Dodatki dla dzieci w pismach codziennych służą w przeważnej mierze celom reklamowym, gdyż powiększają one niewątpliwie liczbę prenumeratorów. Cele propagandowe polegają na przesyleniu słowa drukowanego dla dziecka — nakazami chwili w sposób przyspieszony, powierzchowny, nie związany organicznie z rozwojem młodego czytelnika, z jego tworzącym się światopoglądem, którym należy rozumnie, krok za krokiem pokierować. A tymczasem... kto stoi poza wypuszczoną na rynek książką dla dzieci? Kto wydaje pismo i dodatki? W niewielu tylko wypadkach — grupa doświadczonych pedagogów i utalentowanych pisarzy, o ileż częściej przygodny zespół redakcyjny, nieraz zupełnie nieprzygotowany do swej odpowiedzialnej pracy!

Im większy ruch w dziedzinie twórczości dla dzieci, im więcej druków opuszcza prasę, tym bardziej paradoksalna staje się sytuacja. Oto przede wszystkim dziecko pada ofiarą „upowszechniania kultury” w złym, ujemnym znaczeniu — pojętej jako mnożenie taniej lub bezpłatnej lichoty dla mas, obok dobrej, drogłej książki, której nie da się zdemokratyzować.

W jednym z tygodników dla dzieci znajdujemy następujący wierszyk — trawestację L. Wiszniewskiego, o takim zakończeniu:

Jawor, jawor, jaworowi ludzie,
Co wy tu robicie o tak wczesnym świecie?
Budujemy mosty
dla swego starosty
i dla wojewody,
oraz dla was młodych!

Owo „oraz dla was młodych” jest bardzo charakterystyczne, mieści się w tym — niezamierzona oczywiście — złośliwość. Bowiem

w zapale odbudowy, który ogarnął całe życie współczesne, myśli się o tylu rzeczach urzędowych, oficjalnych — o młodzieży ubocznie, przy innej okazji, w... ostatnim wierszu trzeciej zwrotki. Dowodem — choćby chaos na rynku księgarskim. Nie może być i nie będzie u nas pod tym względem dobrze tak długo, dopóki nie powstanie specjalna komisja, kontrolująca z punktu widzenia pedagogicznego, społecznego i artystycznego wszystko, cokolwiek dociera do rąk dziecka. Cóż z tego, że ukazało się kilka dobrych, wartościowych książek, że niektóre czasopisma wydawane są z rzetelną troską pedagogiczną, skoro przytłumia je zalew panoszącej się tandety?

Pozostawianie w zawieszaniu tej palącej sprawy podcina u podstaw pracę nad wychowaniem młodego pokolenia, pracę, którą mamy prawo i obowiązek wysuwać na czoło współczesnych zadań!

WŚRÓD „ŚWIERSZCZYKÓW” I „ISKIEREK”

Rozpocznijmy przegląd od tygodników dla dzieci prowadzonych równoległe przez wydawnictwo „Czytelnika” („Świerszczyk”, „Przyjaciół”) i Z. N. P. („Iskierki”, „Piomyczek”, „Piomyk”, „Iskierki Bydgoskie”). Tym łatwiej omawiać je wspólnie, że przeznaczone są dla dzieci tego samego niemal wieku.

„Świerszczyk” i „Piomyczek” to tygodniki dla dzieci młodszych („Piomyczek” może dla nieco starszych, zważywszy, że osobne numery „Iskierek” zawierają wierszyki i powiastki dla dzieci najmłodszych, które korzystają częściej z materiału „Świerszczyka”). „Świerszczyk” ma niewątpliwie wygląd bardziej efektywny. Trójkolrowe rysunki zajmują niejednokrotnie więcej miejsca w numerze niż teksty wierszyków i powiastek. Rysunki te są zabawne, wesołe, robione przez nie byle jakich rysowników i na ogół udaje, z wyjątkiem tych, które ciążą ku karykaturze (podróż z parasolami w nr. 12 lub przykro sprymityzowani „braciszczkowie z całego świata” w nr. 3). Widoczne jest, że strona techniczna wydawania pisma nie sprawia organizatorom wielkich kłopotów, łatwo o papier, o trójkolrową produkcję rysunków (dla uniknięcia monotonii nie są to zawsze te same trzy odcięcia). Może te ułatwienia właśnie sprawiły, że pisemko, choć żywe i atrakcyjne, jest jednak w szczególności sposobem jednostajnym, jak gdyby przewaga wysiłku pedagogicznego wyładowała się w dziedzinie graficznej. Wierszyki Krzemienieckiej i Januszewskiej — bardzo dobre (np. przyjemnie archaizowana historyjka „Fige gdańskie” z niezwykle świeżymi w swej prostocie rysunkami podpisanymi „A”, które pragnęlibyśmy częściej widzieć na łamach „Świerszczyka”), lecz obok nich trafiają się inne uderzająco słabe, niektóre tak bez indywidualności, że można by śmiało pozamieniać podpisy. Pisemko unika programowej tendencji i moralizatorstwa, co

jest wprawdzie objawem dodatnim, ale sprawa, że „Świerszczyk” nie ma zdecydowanego oblicza, wszystkie numery są do siebie podobne, a różne tematy np. o zabarwieniu społecznym ujęte są w sposób szablonowy i bładny (braciszczkowie na całym świecie, rozmaite zawody itd.).

Jest rzeczą szczególną, że w „Świerszczyku” pisują czasem ci sami autorzy co w „Piomyczku” (Brzechwa, Jarmolińska, Ożogowska, Zarembina, Wiszniewski), a jednak ich opowiadania i wierszyki wydają się na tym tle inne. Owym tłem jest pewna atmosfera, którą „Piomyczek” świadomie stwarza. Na czym ona polega? Przede wszystkim na tematyce bliższej światu dziecka. Jeżeli czytamy o butach, to niekoniecznie o szwajcarskich warształach, co na dłuższą metę nuży, lecz o lipowych trepkach, które miały dziurki, a jednak najprzejemniej było w nich chodzić, a jeśli o szwajcarskim warształach, to już o obstalunku na... siedmiomilowe buty, żeby obok realnych obserwacji było też trochę... bajki; jeżeli o zwierzętach, to już niekoniecznie pogadanki popularno-naukowe, lecz raczej wesołutkie historyjki cykliczne np. o bocianie Kajtusia, do którego na pewno dziesiątka zdążyła się przywiązać. Tę atmosferę prostoty, graniczącej z ludową fantazją, nadaje „Piomyczkowi” w dużej mierze pióro M. Kownackiej a także nieocenionej Janiny Porazińskiej — która, choć nie często — zamieszcza tu swoje powiastki i wierszyki. Znać tu — prócz wyraźnego nacisku na problemy życia gromadnego — dążność do zespolenia życia dziecka z wsią i przyrodą. Fakt, że „Piomyczek” nie ma ani tak dobrych ilustratorów jak „Świerszczyk”, ani takich możliwości technicznych, sprawia, że pisemko jest bardziej dyskretne w wyrazie i większą wagę przywiązuje do samoistnego słowa, które tam było częstokroć tylko interpretacją tekstu.

„PRZYJACIEL” I „PIOMYK”

Wydawnictwa Z. N. P. ukazują się bardzo nieregularnie, nieraz co 6 tygodni, nieraz co 2 miesiące (tak przynajmniej przedstawiała się sprawa do połowy lutego, z której to daty pochodzą ostatnie egzemplarze recenzyjne). W „Piomyczku” (którego numerów wyszło z resztą bodaj więcej niż „Piomyka”) nie dał się tak wyraźnie odczuwać ten brak ciągłości co w „Piomyku”. Każdy numer wydawany niemal jak jednodniówka, przeważnie z pewnej okazji, naładowany jest wprost materiałem historycznym, regionalnym, beletrystycznym itd. Np. nr 1 zajmuje się organizacją nowego życia w zburzonej Warszawie, nr 3 poświęcony jest pracy na ziemiach odzyskanych, nr 4 wydany jest z okazji Bożego Narodzenia i Nowego Roku, nr 5 regionalny śląski itd. Pismo to ma, z natury rzeczy, inne oblicze niż „Przyjaciół”, wydawany jako regularny tygodnik, który daje w każdym numerze pogadankę przyrodniczą lub historyczną, od-

ciniek powieściowy, wierszyki, historyjki obrazkowe itd. Na ogół „Płomyk“ jest piśmie o poważniejszej problematyce, może nieraz zbyt przeciętnym wiadomościom. Nie można tego powiedzieć o „Przyjacielu“, ma on raczej charakter rozrywkowy, na materiał naukowo-dydaktyczny kładzie się tutaj mniejszy nacisk (np. nr 20 nie zawiera poza kilkoma uwagami o „Skorpionie“ żadnych wiadomości rzeczowych). Jeżeli chodzi o poważniejszą problematykę, przeważają momenty antygermańskie i patriotyczne ujęte przede wszystkim od strony święcenia rocznic i wspomnień o charakterze żołnierskim, a problemy społeczne i psychologiczne momenty ze współzycia gromadnego młodzieży ujęte są w sposób powierzchowny, poza tym zbyt mało tu tematyki wiejskiej, zbyt słabo podkreślona łączność pomiędzy dziećmi z całej Polski.

Wydawane przez Z. N. P. „Iskierki Bydgoskie“ zasługują na uwagę jako pismo o charakterze wybitnie regionalnym. Według relacji komitetu redakcyjnego „Iskierki Bydgoskie“ „wobec braku podręczników dostarczają materiału naukowego do nauki języka polskiego i innych przedmiotów szkołom powszechnym na Pomorzu; z chwilą ukazania się podręczników „Iskierki“ wychodzą one jako pismo regionalne w służbie wielkiego Pomorza“. Te specjalne cele „Iskierki“ tłumaczą ich charakter na polu naukowym. Dużo tu materiału historycznego, zwłaszcza o zabawkach tych okolic, pogadanek o wielkich ludziach itd. Pismo jako lektura jest zbyt ciężkie i zbyt jednostronnie nastawione w tematyce na tę jedną część Polski, jest jednak niewątpliwie pożyteczne ze względu na rzetelne i gruntowne opracowanie materiału i zdrowy dydaktyzm, oparty o przesłanki społeczne. Siły autorskie o nieznanym nazwiskach wnoszą świeży zapach w swą pracę. Wiersze Franciszka Grota, choć zdradzają zbyt mało prostoty, zasługują na uwagę ze względu na staranny dobór rymów i świadomość troskę o formę — jest to pewien krok w kierunku zerwania z banalną częstochowszczyzną wierszy dla dzieci.

MOTOCYKLE Z PRYZCZEPKĄ

Dodatki do pism codziennych nie są samowystarczalne. Zarówno duży, nieporęczny format, jak kruchy papier, nie odbijający czysto rysunków, jak wreszcie pośpieszna dziennikarska robota redakcyjna nadają im charakter „pryzczepki“, związanych nierozłącznie z pismem dla dorosłych, produkowanych przy okazji i te wszystkie czynniki sprawiają, że będą one zawsze — mimo wkładanych wysiłków pedagogicznych — stanowiły namiastkę słowa drukowanego, którą spożywa się szybko i odrzuca.

Spśród tych dodatków najstaranniej prowadzony jest „Świat Dzieci“ (przy warszawskim „Głosie Ludu“). Jest to dodatek najobszerniejszy, bo czterostronicowy, sporo tu przedruków, fragmentów mających ukazać się książek, oraz wierszy i opowiadań dawnych autorów jak Oppmann, Konopnicka itd. Konkursy i zbiorowe imprezy dodają poczynności pierni i poza demokratyzującą słowem dla dzieci służą niewątpliwie celom reklamowym. Można by także zakwestionować, czy konkursy polityczne z udziałem czytelników, dla których na następnej stronie pisze się bajeczki „Liliputek — żółty butek“ — należą do pedagogicznych. Pytania „Co to jest demokracja“ i „Komu zawdzięczamy wolność“ — to już prawie małe referendum...

„Świat Dzieci“ ukazuje się jako dodatek do pisma wychodzącego w Warszawie, gdzie rynek wydawniczy nie sasyca się tak łatwo, a wydawnictwa Z. N. P. nie wychodzą regularnie, ale nie jest rzeczą zrozumiałą — o czym była mowa powyżej — dlaczego w Łodzi aż dwa dzienniki („Dziennik Łódzki“ i „Głos Robotniczy“) wydają dodatki dla dzieci, robiąc konkurencję „Świerszyczkowi“, zwłaszcza że w dodatkach tych współpracują te same siły. Mimo iż w „Promyku“ i „Dzienniku Najmłodszych“ poziom prac dorównuje nieraz „Świerszyczkowi“, trafiają się językowe niedopatrzzenia, których być nie powinno, np. „Nie możemy zamieścić wszystkie zagadki“ lub „głowa rozboleć się gotowa“ itd.

Tego rodzaju dodatki na ziemiach zachodnich mają oczywiście większą rację bytu, należy więc bardziej tolerancyjnie odnieść się do „Mojego Przyjaciela“ (dodatek do „Polski Zachodniej“), chociaż powiatki są tu szablonowe, a w wierszykach dużo częstochowszczyzny. Jako moment pozytywny należy podkreślić tematykę górniczą oraz format pismka, mały, zgrabny, na lepszym papierze, nadający się do kolekcjonowania, a przez to bardziej samowystarczalny, zatracający charakter „do-czeczki“ do pisma dla starszych.

Dodatek do nieznanego mi dziennika pt. „Sztandar Dzieci“ stoi na bardzo niskim poziomie. Niezbyt pedagogiczne jest wpajanie dzieciom idei nacjonalizacji przemysłu w ten sposób: „Przepędzono precz właścicieli fabryk i obszarników“. Wiersze bardzo słabe, dużo błędów ortograficznych, dodatek ten jest więc wręcz szkodliwy. Zupełnie inny charakter ma „Hulajnoga“, dodatek do katowickiej „Trybuny Robotniczej“. Redaktorka Magdalena Samozwaniec na tej jednej, przeznaczonej dla dzieci stronie rozsuwa perły swego błyskotliwego humoru, lecz niewiele to ma wspólnego z pedagogiką... „Hulajnoga“ nie jest już nawet przyczepką, lecz dokazuje na własną

rękę karkołomnych sztuk, które tak nie mają nic wspólnego z jakąkolwiek ideologią społeczną, z jakimkolwiek zdrowym dydaktyzmem, że doprawdy taki dodatek aż dziwi w „Trybunie Robotniczej“. „Pamiętnik kotki“, w którym poznajemy talent i cięty dowcip autorki „Małeńkie karo karmiła mi żona“, jest świetną satyrą na stosunki małżeńskie, mieszkaniowe, jest skarbnicą kalamburów językowych, ale czyż nie byłoby lepiej umieścić to w „Przekroju“? Naprawdę wolelibyśmy oszczędzić dzieciom takiej lektury:

Kotki miały laskotki
I ucękały ze strachem,
Gdy je dotknął pod pachą...

lub plastycznego wizerunku ojca-szabrownika:

Gdybym ja miała skrzydełka jak gaska
Pojechałabym ja za tatą do (?) Śląska.
Tato zarabiał dobrze na Zachodzie,
Przydłaził dla nas gromadzi w komodzie...

Od dodatków dla dzieci w pismach codziennych daleko co prawda do takich wybrków jak „Nowy Świat Przygód“ (4 powieści w odcinkach, makabryczne historie obrazkowe, czerwony druk, straszliwie nieortograficzne napisy wypływające obłokiem z ust), a jednak... trzeba pamiętać, że obniżenie klasy wiąże się z samym gazetowym papierem, z dziennikarską robotą redakcyjną. „Nowy Świat Przygód“ winien stanowczo ulec konfiskacji jako pismo deprawujące smak młodzieży, a jednocześnie świadomie zmierzające do zjednania szerokiej rzeszy młodych czytelników, ale i gazetowe „pryzczepki“ do motocykli, pedałujących pełną parą — jakimi są pisma codzienne, winny ustąpić miejsca jednemu popularnemu i starannie opracowanemu pismu dla dzieci, które byłoby dostępne dla każdego i rozchodziłoby się po całej Polsce.

„MŁODA RZECZPOSPOLITA“ ORAZ INNE CZASOPISMA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

Ożywiony ruch w dziedzinie szkolnictwa stworzył potrzebę stworzenia organów, które by poruszały zagadnienia, interesujące kształcącą się młodzież. Młodzież okręgu radomskiego wydaje miesięcznik „Głosy Sztubackie“, redagowany przez uczniów i zasillany wyłącznie ich pracami. Od takiego pisma nie można wymagać zbyt wiele, trzeba jednak ocenić rzetelny wysiłek młodocianych autorów, a poza tym pochwalić cele finansowe wydawnictwa — wybudowanie bursy szkolnej w Radomiu. Organizatorzy proszą okoliczną młodzież o poparcie ich pożytecznej inicjatywy przez zapisywanie się do komitetu młodzieżowego, zawiązanego w tym celu.

„Młode Życie“ — to pismo młodzieży czeskiej, zaopatrzone wstępem dyrektora państwowego liceum i gimnazjum. Zawiera ono artykuł z okazji rocznicy kościuszkowskiej, wspomnienia z powstania warszawskiego itd. „Na Tropie“ — to pismo młodzieży harcerskiej, prowadzone popularnie, w formie pogadanek raczej dla dzieci młodszych. Pismem młodzieży szkół średnich jest także „Płomień“, którego niestety nie możemy omówić z powodu braku egzemplarzy recenzyjnych.

I znowu pytanie: czy nie za dużo tych wydawnictw?

Wysiłek zjednoczenia rozproszonych po całej Polsce prób przedsięwzięła redakcja „Młodej Rzeczypospolitej“. Nowopowstały tygodnik przeznaczony dla starszej młodzieży szkolnej jest piśmie o wielkim zasięgu i wysokich ambicjach. Do komitetu redakcyjnego należą przedstawiciele świata naukowego, literackiego, władz szkolnych, wychowawcy, organizatorzy związków młodzieżowych. W każdej dzielnicy Polski, w każdym ośrodku, ma powstać komitet redakcyjny, który następnie zorganizuje komitety młodzieżowe w celu współpracy z tygodnikiem. Praca organizacyjna idzie bardzo sprawnie, skoro już po miesiącu istnienia pisma pokażna paczka numerów okazowych oraz dyrektywa utworzenia komitetu dotarła na dalekie Podhale... Należy stwierdzić, że „Młoda Rzeczypospolita“ jest piśmie dobrze redagowanym. Pięta tu najlepsze siły i o wszystkim, co może młodzież interesować: o nauce, sztuce, o zagadnieniach politycznych, społecznych, technicznych, a harcerstwie, sporcie. Wiadomości ze świata podane są w formie zabawnych rysunków, a dzieła humoru narzęcznie nie wzbudza politowania, gdyż kawały są tak miłe i bezprezjonalne, że naprawdę trzeba się uśmiechnąć. Poziom i sporob opracowania zagadnień przypomina chwilami przedwojenne „Iskry“.

Widoczne jest, że aby pismo to mogło powstać i rozwinąć się tak szybko, zaangażowano najlepsze siły, zmobilizowano cały aparat techniczny, słowem jest to robota, w której znać dbałość zarówno o poziom, jak i o efekt.

Powstanie tego pisma jest szczególnie ważne w momencie, gdy toczy się walka o kierunek wychowania młodzieży. Jedni chcieliby dać jej możność swobodnego wyboru wśród obiektywnie podawanych treści społeczno-kulturalnych, inni — wprowadzić w problematykę życia współczesnego. Jedni pragnąliby uchronić młodzież przed zbyt wczesną dojrzałością, opóźnić moment deklarowania się ideowego na korzyść rozwoju władz poznawczych, inni — uczyć od wczesnych lat krytycznego spojrzenia na rzeczywistość i urabiania światopoglądu w oparciu o ścisły związek z życiem społecznym i jego zagadnieniami. Drugie stanowisko wydaje się w dobre dzisiejszej jedynie uzasadnione. Nie przez usuwanie od zagadnień życia bieżącego, lecz przez zespolenie ich z wkładem wiadomości naukowych, z wiedzą o kulturze minionych wieków dajemy młodzieży zręby postawy ideowej, skierujemy na właściwe tory jej dynamizm, zdobywszy stosunek do rzeczywistości. W pierwszym wypadku pod pozorem zatrzymania młodzieży na drodze zbyt szybkiego rozwoju wymagamy od niej właśnie największej dojrzałości: przedwczesnej równowagi, tolerancji, pełnego rezerwy i spokoju eklektyzmu przekonania, a jednocześnie nie dajemy jej do ręki broni przeciw hasłom, którym wbrew naszym zamierzeniom wychowawczym mogą w zapale młodzieńczym ulec.

Drugie stanowisko zdaje się nie ulegać wątpliwości, chodziłoby tylko o metodę, ułatwiającą młodzieży zdobywanie określonego pionu ideologicznego. Winna to być metoda —

jeśli użyjemy terminu z dziedziny dydaktyki — heurystyczna, metoda swobodnych wypowiedzi pod kierunkiem, sprzyjająca ścieraniu się poglądów i dająca różność odważnego obnażania bolączek, gdyż wszelkie powierzchowne narzucanie treści, graniczące z chwytami propagandowymi, budzi u młodzieży zrozumiały protest. Przekonania polityczne wymagają największej dojrzałości, winny więc stanowić naturalną nadbudowę kształtującego się w duchu postępowo społecznym poglądu na świat, lecz nie jest wskazane z punktu widzenia trwałości wyników wychowawczych — od nich zaczynać i to w sposób szybki, doraźny, gwałtowny.

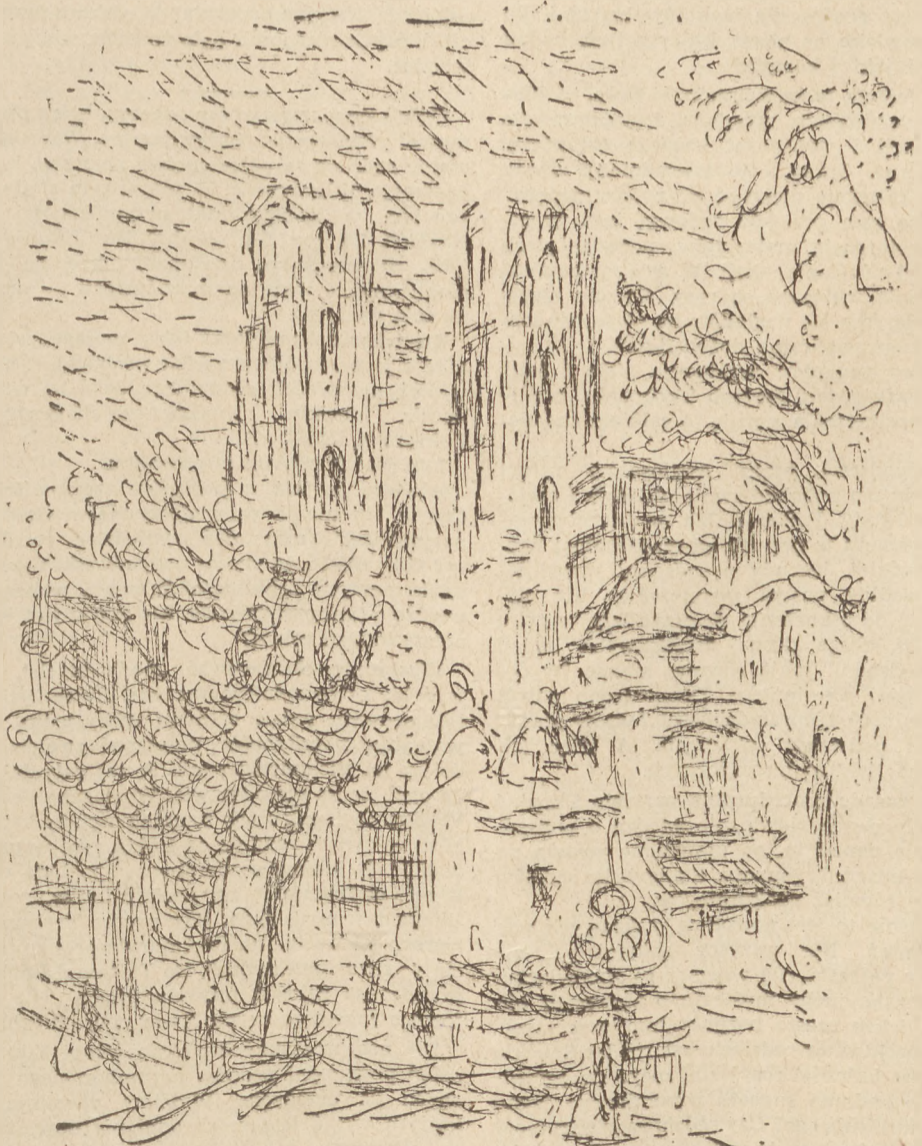
Tego rodzaju „szybkie tempo“ metod wychowawczych cechuje „Młoda Rzeczypospolita“. Tygodnik ten powstał — jeśli można się tak wyrazić — w atmosferze wysokiego napięcia. Widoczna jest jak gdyby presja najlepszych sił, najlepszych piór, by jak najprędzej młodzież wychować, wprowadzić w świat rzeczywistości społecznej i od razu na wszystko uzyskać jej wewnętrzne przyzwolenie. Wszystko jest tu gotowe do natychmiastowej konsumpcji, przygotowane nie daje się młodzieży możności badania, pytania, wyrażenia wątpliwości, a przecież założeniem nie było stworzenie jeszcze jednego pisma dla młodzieży, lecz organu, który by im samym dał możność — jako w trybunie dyskusyjnej — wypowiedzenia się, przemyślenia wspólnej pewnych zagadnień. Wytworzenie wspólnej platformy między starszym i młodym pokoleniem jest bardzo pożyteczne, koleżeńską współpracą na pewnych odcinkach, której młodzież sama tak pragnie — wskazana, lecz starsi powinni zawsze zachować rolę — nie równorzędnych towarzyszy, lecz kierowników prostujących wątpliwości, wyjaśniających wahania, podających rękę w trudnych momentach, lecz usuwających się dyskretnie w cień, gdy młodzież pragnie dać wyraz swym bolączkom.

Na razie w „Młodej Rzeczypospolitej“ zbyt mało jest młodych, którzy szukają, pytają, pragną wyjaśnień i wskazówek, zbyt wiele mówią za nich starsi, a oni sami wypowiadają się w sposób mało samodzielny. Te same zresztą zastrzeżenia wychodzą od samych czytelników (co uwidoczniła korespondencja), którzy domagają się, by w „Młodej Rzeczypospolitej“ wypowiadała się częściej sama młodzież w sprawach szkolnych, organizacyjnych, by mówiła o sprawach społecznych, o walkach światopoglądowych. Można więc mieć nadzieję, że gdy powstanie więcej komitetów młodzieżowych w całej Polsce, gdy czytelnikami i współpracownikami pisma stanie się młodzież nie tylko miejska, lecz wiejska. „Młoda Rzeczypospolita“ stanie się trybuną swobodnych wypowiedzi, ścierania się poglądów, obrazem życia szkolnego i organizacyjnego młodzieży, trybuną, nad którą będzie patronowała określona idea społeczna. Tego rodzaju inicjatywę należałoby poprzeć w całej pełni. Ci sami profesorowie, którzy piszą w „Młodej Rzeczypospolitej“ o sztuce nauce, życiu społecznym, uzyskają o wiele większy wpływ wychowawczy jako kierownicy dyskusji w tej dziedzinie, niż jako wykładowcy. Wówczas tylko zdołalibyśmy przygotować kadry świadomych uczestników i twórców życia społecznego, a nie duchowo bierną grupę, którą nauczone mówić w pewien sposób.

Na zakończenie warto przytoczyć fragment z pracy pewnej młodzieńczej góralki z Grwałdu, zamieszczony w jednodniówce „Ku Przyszłości“, wydanej przez młodzież nowopowstałego gimnazjum w Krościenku nad Dunajcem.

„Gdy wracam ze szkoły do domu, idę zwykle z koleżankami. Kiedy jest dzień piękny, pogodny i jasny, bardzo nam przyjemnie iść: promienie słoneczne padają nam w oczy, tak że nie można nawet patrzeć. Lecz gdy w zimie jest wielka zawierucha, śnieg sypie w oczy, lub jesienią deszcz sypie, błoto w butach chlupocze, wtedy pragniemy jak najprędzej być w domu, zagrażać się w ciepłym pokoju i zabrać do nauki. Czasami w zimie wracam wieczorem i lekcje trzeba odrabiać rano... Idąc w zimie taki duży szmat drogi, myślimy nieraz, kiedy skończy się ta ciężka niedobra wędrówka. Nieraz mi zdarza się, że inne dzieci mają tak blisko do szkoły i nie muszą tak bardzo marznąć. Magabym i ja mieszkać w Krościenku, ale mam rodziców biednych, którzy nie mają tyle pieniędzy, by za wszystko zapłacić. Lecz ja i tak nie wiem jak mam się im wywdziżyć za to, że mnie posyłają do gimnazjum i w domu wszystko za mnie zrobią, żebym tylko mogła się uczyć.“

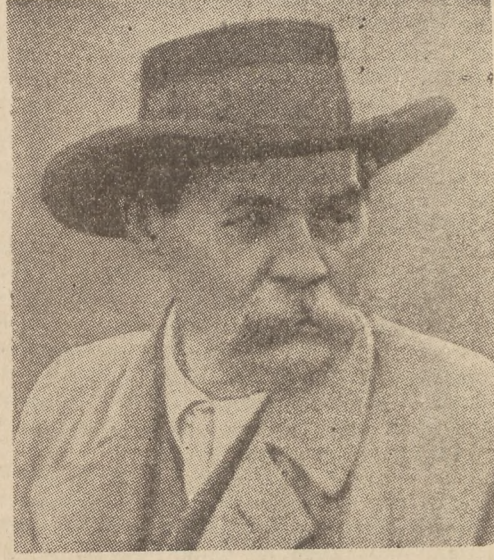
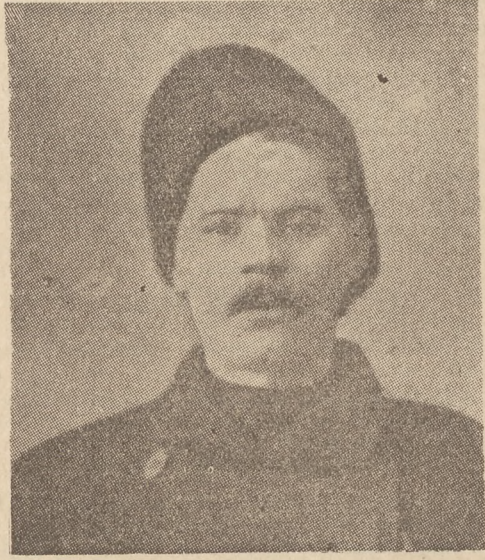
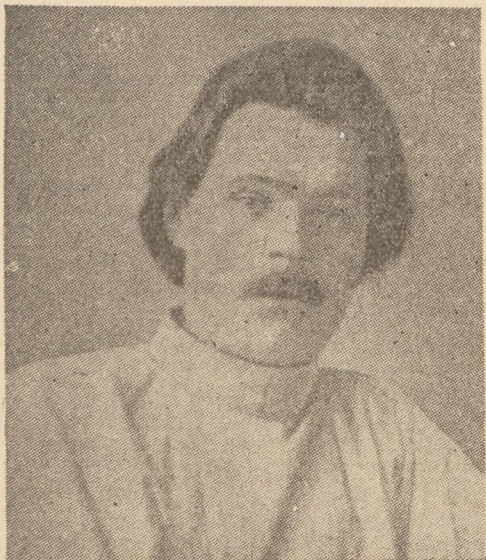
Te słowa mówią same za siebie i ukazują nam głębie przeżyć dziecka wiejskiego, które musi przejść tak daleką drogę z domu do szkoły, by uzyskać wymarzony szczebel średniego wykształcenia. Dzieci wyrwają się ku temu awansowi społecznemu, który umożliwia im upowszechnienie oświaty i kultury i mają prawo domagać się, by pokarm umysłowy, który otrzymują nie był nędzną namiastką, lecz towarem w pierwszorzędnym gatunku, by nie „upowszechniano“ na ich użytek szablonowych wierszyków, ilustracji zamazanych czy kilku opowiadaniem przyrządzonych według szablonowej recepty, lecz by zasiewano ich umysły zdrowym, pełnym ziarnem.



ADAM MARCZYŃSKI

Motyw z Wrocławia

W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI MAKSYMA GORKIEGO



Maksym Gorkij w różnych okresach życia

Dzień powszedni procesu w Norymberdze

Norymberga, w sierpniu 1946 r.

Postanowienia, by zatrzymać się w Norymberdze, nie powziąłem bynajmniej w celu napisania niniejszego artykułu. Zastrzegam się przeciw nieufności przyjaciół, którym nie ujawniłem nigdy mego zainteresowania procesem. Powodowała mną, wyznaje, niewyrafinowana ciekawość, nawet nie zaprawiona dostatecznie teoretyczną wiedzą o trafnym podpatrywaniu mechanizmu takich wymiarów, jak ten, który uruchomiono w Norymberdze. Słyszany na całym świecie łoskot tych wielu pośpiesznie zachodzących na siebie trybów ogłuszył mnie trochę. Od dawna przestałem reagować na coraz bardziej, jeśli wierzyć korespondentom, sensacyjne zeznania podsądnych i świadków. Czyż bowiem sumienie nawet bardzo wrażliwego człowieka można poruszać stale, codziennie, nową, większą od wczorajszej i przedwczorajszej zbrodnią, jeśli ta pierwsza, którą ujawniono posiada moc, by zabić wiarę w ludziach na całym globie ziemskim? Proces norymberski już po sprawozdaniach z pierwszych tygodni przestał — wydaje mi się — skupiać uwagę świata w tym sensie, w jakim rozumiemy np. „skupienie się” człowieka przed powzięciem decyzji o najpoważniejszym znaczeniu. Sprawę winy rozłożono na poszczególne, większe, niekiedy drobne elementy. Pobudki, środki działania, skłonności przyrodzone działających. Zróznicowano stopnie odpowiedzialności za akt decyzji, akt realizacji itp.

To wszystko, co składa się na przewinę jednostkową, na cały jej proces psychologiczny — stało się w Norymberdze przedmiotem dociekliwych badań umożliwionych przez zastosowanie precyzyjnego wyposażenia technicznego.

Tak jakby zdecydowano, by — po tylu od wielu wieków trwających ćwiczeniach — przedsięwzięć wreszcie ostateczną próbę i ujawnić utajoną w człowieku skłonność do moralnych zbrodni. Udając się na salę posiedzeń Trybunału nie byłem jeszcze właścicielem tak sformułowanych spostrzeżeń. Powodowała mną, jak rzekłem, ciekawość, chęć poddania się bezpośrednio oddziaływaniu sensacji, ujrzenia „na własne oczy” tych, których się tu w Norymberdze określa słowem „podsądni” i baczę się bardzo na to, by w stosunku do nich nie nastąpiło przejęzyczenie.

Ta obawa przed przejęzyczeniem jest obawą proceduralną. Warunkuje ona proces bardziej niż skłonni jesteśmy przypuszczać. Na sali posiedzeń panuje atmosfera ostrożności, by jakimś niebaczym sformułowaniem, gwałtownym, ostrym słowem nie zakłócić naukowego spokoju, by stan beznamiętności trwał do czasu aż badania dadzą wyniki.

I właśnie ta ostrożność mnie zaskoczyła; skłoniła mnie ona do odrobienia pewnych założeń, których w sobie nie podejrzewałem. To jest przede wszystkim powodem, że dołączam mój głos do chóru norymberskich sprawozdawców. Choć obawiam się, iż nie będę umiał im dorównać w umiejętności zaciekawiania czytelników i żadnej tragedii w rodzaju „tragedii młodego Polaka”, którą tak łzawo „Przekrój” wystawił, nikomu nie obiecuje.

309, 310 i następne posiedzenia Trybunału nie sprzyjały widoczności. 308 minionych posiedzeń ułożyło na „podsądnych” warstwę wyglądu taką, jakiej nie oczekiwałem. Twarze ich, mimo wszystko, są już twarzami ludzi, którzy przyzwyczaili się do sali, na którą się ich wprowadza dwa razy dziennie.

Wiedzą, że naprzeciw nich zasiądą sędziowie, a z prawej strony, z galerii dla prasy i publiczności, będą ich śledziły nieżyczliwe, zaciekawione oczy oczekujących na ujawnienie się grymasów lub gestów charakterystycznych dla ich przeszłej działalności. „Podsądni” nie tylko takie sprawiają wrażenie, ale są na pewno obcy z nowymi warunkami życia. Jeśli Goering zakrywa twarz ręką i odwraca się plecami do publiczności, to nie czy-

ni tego ani z pogardy, ani ze wstydu. I jedno i drugie miał czas utracić. Tak z pewnością zachowywał się w szkole, kiedy pragnął upodobnić się w oczach nauczyciela do swoich kolegów, aby mieć równe jak i oni szanse do uniknięcia wezwania do tablicy. Streicher żujący stale gumę czy resztki pokarmu, który skubie ukradkiem, ma minę niezainteresowaną nie dlatego, by pragnął wyłączyć się z procesu. Zachowaniem swoim obnaża swój niechlujny charakter. Keitel trzyma się prosto, bo czynił tak całe życie. Dla tych samych powodów, dla których Ribbentrop zachowuje się poprawnie. Znudzenie Fritschego nie wymaga, sądzę, innego tłumaczenia, niż tępotą Kaltenbrunnera. Wydaje mi się, że spóźniona będzie dzisiejsza ciekawość ludzi, którzy przybywają do Norymbergi, by ujrzeć wczorajszych władców Europy. Zwierzał nie tylko majestat stanowisk, które zajmowali, ale nawet — i procedura nie może temu przeciwdziałać — ściera się coraz bardziej piętno zbrodni, które popełnili.

Może końcowy etap procesu zgalwanizuje ich. Może, w obliczu ostatecznych w ich życiu rozstrzygnięć, wystąpią znamiona, które utracili. Lecz wówczas także może być różnie: albo rozpaliszczą się, albo z podniesioną głową będą usiłowali wyzwąć dla siebie legendę. Ten końcowy odruch będzie znów gestem ludzi działających pod narkozą strachu lub nonszalancji. Czy jednak będzie on charakteryzował ich szlachetnie?

Lecz dzień powszedni procesu w Norymberdze nie budzi żadnych historyczno-politycznych skojarzeń. Mechanizm nastawiony jest na zwykłe, zwyczajny dzień i godziny. Obsługujący go, całą swoją inteligencję używają do tego, by nie dopuścić do powiększenia skali. Jakby się obawiali, że powiększenie to jest groźne dla wyników badań i dla losu człowieka na ziemi, który z tych badań ma mieć jakieś korzyści.

I właśnie to, ta beznamiętność sądu, ta dbałość o utrzymanie wymiaru dostępnego dla inteligencji i wyobraźni każdego człowieka, jest sporne. Sprawia to uzasadniony zawód i budzi refleksje niełatwe do rozstrzygnięcia.

Zresztą sam przewód sądowy, jego procedura dostarczająca materiałów pobudzających do takiej właśnie reakcji. W samym bowiem przewodzie widoczne są rysy. Są one wynikiem ścierania się poglądów na słuszność metody przeprowadzania doświadczeń.

Różnice poglądów występują stale i jeśli, będąc w niewielu sesjach Trybunału, uogólniam spostrzeżenia, czynię to całkiem świadomie.

Wprowadzony przez Anglosasów rytuał przewodu ma podobno swoje głębokie i racjonalne powody. Podobno. Ma on przeciwdziałać powstaniu w przyszłości ewentualnej neonazistowskiej legendy o sądeniu zwyciężonych według prawa zwycięzców. Ma dowiedzieć, że od oskarżenia do przyszłego wyroku prowadzi długa droga dociekliwych badań i że „podsądni” mają równe szanse, by dowiedzieć swej niewinności. Dopuszczono nawet ewentualność nieprawdowości faktów stanowiących podstawy oskarżenia. A więc jak wiadomo: faktów historycznych.

Jako zasadę proceduralną przyjęto fikcyjną założenie, że sędziowie nie wiedzą o podsądnych nic ponad to, co ujawnione zostało na sali posiedzeń Trybunału. Stanowisko sędziów kępuje również prokuratorów.

I właśnie to jest powodem jaskrawych nieporozumień. Nie wszyscy skłonni są, nie wszyscy potrafią, nie wszyscy są zobowiązani do abstrakcyjnego myślenia o sprawach blisko, a jakże często bezpośrednio przeżytych.

Czy prokurator radziecki oskarżając Sauckla o brankę ludności rosyjskiej może się ograniczyć do podania sugestii popełnionego czynu nie kwalifikując go? Czy sędzia radziecki może nie wiedzieć o tym, że rodaków jego wywożono w sposób przestępny do Niemiec, że setki tysięcy ludności radzieckiej wymordowano? Czy

powinien on wieść abstrakcyjny spór z obrońcą „podsądnego” o istnienie faktów, które są przecież powszechnie wiadome?

Czy sędzia Francuz może nie wiedzieć o deportowanych Francuzach i o tych, których zamęczono w obozach koncentracyjnych?

Tylko to jest brane pod rozwagę, co zostało ujawnione podczas przewodu na sali posiedzeń. Gdy przedstawiciel Polski, podczas odczytywania zeznań von dem Bacha, zwraca uwagę na brak materiałów dowodowych dotyczących zbrodni popełnionych w Warszawie, otrzymuje odpowiedź, iż, wobec podpisania protokołu, sprostowanie jego jest spóźnione i nie może być objęte aktem oskarżenia. Najważniejszą bowiem troską jest poprawność formalna.

Zwraca uwagę fakt, iż Anglosasi z wielką skrupulatnością i łatwością przestrzegają założeń fikcyjnych. Można by daleko zajęć drogą analizowania różnic między mentalnością Anglosasów i mentalnością innych narodów, których przedstawiciele biorą udział w procesie. Można by podnosić walory inteligencji zdolnej do czystej abstrakcji, giętkiej i wrażliwej na literę prawa. Lecz to nie posunęłyby interesującej nas sprawy.

Jedno jest pewne i to się uzewnętrznia.

Inna jest postawa przedstawicieli narodów, które doświadczyły na sobie niewoli hitlerowskiej. Inna natomiast — przedstawiciele tych narodów, które tej niewoli nie zaznały. Anglosasi, którzy widzą hitlerowców „po raz pierwszy” na ławie oskarżonych, zdobywają się łańtwo na „obiektywizm”. Francuzi i Rosjanie widzą zbrodniarzy, którym nie dowieść winę, ale wymierzyć karę należy.

I to jest głęboka rysa w przewodzie procesu norymberskiego. Na fikcję nie wszyscy mogą się zgodzić. A przy tym jakże często założenie fikcyjne prowadzi do niekonsekwencji, których niesposób było teoretycznie przewidzieć.

Odbył się pierwszy etap procesu, który obejmował przestępstwa indywidualne. W drugim etapie sądzono są przestępstwa zbiorowe i organizacje hitlerowskie. W pierwszym stadium procesu, w którym fakt przynależności do NSDAP, SS czy SA nie był kwalifikowany jako przestępstwo, „podsądni” broniąc się mogli zrzucić winę na mocodawców — organizację partyjną.

Streicher np. przytacza fakty mające świadczyć o jego „cnotliwym życiu osobistym”, a co więcej, „prawość” charakteru dowodzi wiernością ideałom narodowo-socjalistycznym, Führerowi i NSDAP.

I to jest formalnie w porządku.

Ale czy to jest w porządku rzeczywistości? Czy w ten sposób prowadzone doświadczenie norymberskie może dać oczekiwane rezultaty? Oczywiście, że proces norymberski ujawni wiele nowych subtelnosci prawa i wzbogaci wiedzę o tym przedmiocie. Ale czy to jest jego rzeczywistym celem?

Wystarczy obserwować „podsądnych”, by wyrobić sobie opinię o sprawie. Żyjąc życiem sali sądowej ludzie ci mają tylko jedną powszednią namiętność: przyłapać swoich sędziów na niekonsekwencji. A tej satysfakcji na ogół się im nie odmawia. Wystarczy śledzić Franka. Prawnik obyty z subtelnosciami kruczków sądowych reaguje na każdą rysę w przewodzie. Z jakimż sztywnym spogląda całą ławę „podsądnych” na prokuratorów, rosyjskiego i francuskiego, gdy prezes Trybunału zwraca im uwagę na fakt niewłaściwego użycia wyrazu „przestępca”. Bo Trybunał lojalnie przestrzega założeń proceduralnych. Nie ma jeszcze przestępstw na ławie podsądnych.

Dla nas, mieszkańców okupowanej Europy, dzień powszedni procesu norymberskiego jest ciężki do przeżycia. Widzimy zbrodniarzy, którym wciąż jeszcze zbrodni nie dowiedziono. Słyszymy, jak świadkowie obrony kpią z naturalnej moralności, dowodząc humanitaryzmu reżymu hitlerowskiego. A jednocześnie

podziwiamy precyzję formalną, z jaką Trybunał pracuje.

Nie wiemy już, czyj proces się odbywa, kto jest podsądnym i kiedy ostatecznie winy zostaną udowodnione.

Na galerii słychać szeptane rozmowy. Kto jest bardziej, kto mniej winien. Kto na jaką karę zostanie skazany.

Abstrakcyjna beznamiętność i fikcja sprawiają, że nawet dobrze zorganizowana wyobraźnia traci siłę działania, poddając się spekulacyjnym dociekanom formalnym. A czyż o to naprawdę chodziło?

Przecież zbrodnia jest już historycznie znana i zbrodniarze ujęci. Czyż tak wiele trzeba stawiać kropek nad jedną literą, chociażby to była litera prawa?

Zbigniew Bińkowski

KORESPONDENCJA

KTO BYŁ OJCEM?

Do redaktora „Odrodzenia”

W numerze 32 (89) „Odrodzenia” wniósł K. W. Zawodźński poprawkę do mego artykułu „Zbuntowany hrabia” ogłoszonego w numerze 28 „Odrodzenia”. W poprawce tej przypisuje Zawodźński Potemkinowi ojcostwo Aleksandry Engelhardt, opierając się na tym, że we wszystkich oficjalnych źródłach figuruje ta córka Katarzyny Wielkiej i żona hetmana Fr. Ksaw. Branickiego jako „siostrzenica Potemkina”. Sądzę, że z tego dowodu można by tylko snuć wnioski o spowinowaceniu Potemkina z rodziną Engelhardtów, która dała swe nazwisko córce carycy. Przypisanie ojcostwa Aleksandry Saltykowiej oparłem na badaniach Dymitra Filosofowa, który ogłosił wyniki swych badań w „Wiadomościach Literackich” (1934, nr 7). Nadmieniam, że inni genealogowie przypisują ojcostwo Aleksandry ks. Orłowowi.

Zdaje się, że jedynie caryca Katarzyna mogłaby powiedzieć prawdę, zresztą — przy jej równoczesnych wielokierunkowych zainteresowaniach erotycznych — jedynie Bóg rozstrzygnąć może kwestię ojcostwa jej córki Aleksandry Engelhardt.

Marek Bosak (Kraków)

KAROL MAY ZAKAZANY

Do redaktora „Odrodzenia”

W nr 31 (88) „Odrodzenia” z dnia 4 sierpnia 1946 r. sprawozdawca „Jaszcz” omawiając artykuł mój o Bibliotece Miejskiej w Gliwicach, drukowany w zeszytach 1-2 kwartalnika „Zaranie Śląskie”, wyraża przypuszczenie, iż chyba nieporozumieniem jest zawarta w nim wzmianka, że wskutek czystek kulturalnych, przeprowadzonych w okresie régime'u hitlerowskiego, wycofany został z bibliotek niemieckich ulubiony pisarz robotników śląskich — Karol May. „Jaszcz” motywuje swoje przypuszczenie, tym, że Karol May był również ulubionym pisarzem A. Hitlera, który dał temu wyraz, mówiąc kiedyś o pedagogicznych wartościach lektury Maya dla niemieckiej młodzieży.

Otóż najwidoczniej znalazły się czynniki, które nie podzielały zapatrywań Hitlera. Bowiem Państwowa Poradnia Czytelnictwa Ludowego dla Górnego Śląska w Gliwicach (Staatliche Beratungsstelle für das Volksbüchereiwesen der Provinz Oberschlesien) w okólniku do kierowników publicznych Czytelni Ludowych na Górnym Śląsku z dnia 25. VI. 1934 r., podając dyrektywy rozbudowy i pracy państwowych poradni (które to dyrektywy stanowią uzupełnienie wskaźników zawartych w rozporządzeniu ministerialnym z dnia 28. XII. 1933 r. V. II R Nr 750 I.) wyszczególnia w nim autorów i dzieła, które należy wyeliminować z księgozbiorów bibliotecznych. W punkcie piątym wymienia m. in. książki awanturzystki takich autorów jak Bourroughs (Tarzan), Karol May, E. Wallace, Zane Grey i inni.

Olga Ziemilska (Gliwice)

BLĄD

Do redaktora „Odrodzenia”

W numerze 32 (89) „Odrodzenia” w świetnym artykule biograficznym Stanisława Helsztyńskiego „Płon pisarski Sinclaira Lewisa” znalazł się lapsus „rei”. Mianowicie na stronie drugiej w ostatniej szpalcie zamiast słów „które Sinclair Lewis wytrwał, genialnie przez okres siedmiu lat chudych głosił” powinno być „przez okres siedmiu lat tłustych”, tak bowiem narzuca się wprost z danych biograficznych i tylko tak ma sens klasyczna aluzja z pięcioksiągiu Mojżesza.

Wilhelm Silberstein (Kraków)

Notatki angielskie

Londyn, w sierpniu 1946 r.

IMIGRACJA

Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że Wielka Brytania broni się przed jakąkolwiek imigracją, tak na terenie właściwej Anglii, jak i jej posiadłości kolonialnych. W czasie wojny musiała ona z konieczności korzystać z usług kilkuset tysięcy Irlandczyków. Dziś, gdy nie są już jej potrzebni, usuwa ich, pozwalając pozostać tylko tym robotnikom, którzy zgodzą się na pracę w kopalniach i tylko tym robotnikom, które zechcą pracować w charakterze pomocniczym domowych. Anglicy bowiem te dwa rodzaje pracy uważają za nieodpowiednie dla siebie i starają się ich uniknąć.

Wydobycie węgla jest kwestią życia i śmierci dla przemysłu i odbudowy Anglii, a przede wszystkim dla eksportu, dzięki któremu odbudowa kraju może nastąpić. Z wielkiej liczby Polaków, którzy w czasie wojny mieli tu swoje formacje wojskowe, część odplynęła do kraju, część zaś, po gorzkich doświadczeniach 6-letniej tułaczki, przyjęła pracę w kopalniach węgla. Początkowo robotnicy polscy byli bezwolnym materiałem roboczym zadowalającym się kęsem chleba — z biegiem jednak czasu, widać jak niesprawiedliwie ocenia się ich pracę, stali się ludźmi zgorzkniałymi i niezadowolonymi z pracy i z losu. Są to przeważnie lotnicy, żołnierze z oddziałów pancernych, marynarze lub urzędnicy dawnych ministerstw rządu emigracyjnego w Londynie, którzy mają pewne aspiracje, a którym ciężka, niewdzięczna, wyczerpująca i źle płatna praca pod ziemią zupełnie nie odpowiada.

Rachuby angielskie, że z kilkuset tysięcy emigracji polskiej uda się stworzyć odpowiedni zespół do pracy w kopalniach, co pomogłoby rozwiązać problem siły roboczej w przemyśle węglowym, zawiodyły zupełnie i dziś mówi się już tylko o „garstce Polaków” zatrudnionych pod ziemią.

Sprawa węgla to dla Anglii bardzo pilna i ważna sprawa. Jego rezerwy na haldach wynoszą obecnie zaledwie 10 000 000 ton, co grozi załamaniem się produkcji w ogóle. Tym bardziej, trzeba się liczyć i z tym, że w okresie zimowym rezerwy te zmniejszą się do 5 000 000 ton.

Ze rząd angielski znalazł się w ciężkiej sytuacji i jest nią wyraźnie zaniepokojony, dowodzi fakt, że zupełnie poważnie rozpatruje paradoksalny jak na tutejsze warunki projekt zastosowania w kolejnictwie benzyny, mimo że węgiel jest na miejscu i tylko go trzeba wydobyć, a ropę, której dowód jest nie zawsze pewny, sprowadza się z kilkusetkilometrowych odległości.

Gdyby chodziło o sam przemysł i konsumpcję wewnętrzną, to i te naruszone rezerwy wystarczyłyby od bieda na pokrycie potrzeb kraju, ale Anglii chodzi w głównej mierze o eksport, który daje możliwości importu, tzn. pozwala opłacić towary importowane.

Rząd angielski głowi się teraz nad tym, jak zachęcić robotnika do pracy w kopalni, który przed nią ucieka, dlatego że praca pod ziemią w pyłe węglowym jest niewdzięczna i ciężka, że kopalnie angielskie są wyposażone w przestarzałe urządzenia i że wynagrodzenie za tę pracę jest bardzo niskie.

Jedynym, ludzkim i sprawiedliwym rozwiązaniem tej kwestii byłoby ustanowienie takich płac, które by zrównoważyły wszystkie niewygody tej pracy. Ale rząd angielski wolałby raczej tego uniknąć i sprytnie wyjść z trudnej dla siebie sytuacji. Po co płacić więcej, skoro emigrantom polskim można przyznać prawo pobytu za cenę pracy w kopalniach. Polacy jednak zawiedli — ci, którzy musieli pracować w przestarzałych kopalniach angielskich, woleli wrócić do kraju i pracować we własnych kopalniach, gdzie urzędzenia są bodajże najbardziej nowoczesne w Europie.

Pozostali jeszcze Irlandczycy. Ci, żyjąc na sąsiedniej wyspie w biedzie i nędzy, emigrują dla chleba do Ameryki, gdzie cieszą się opinią solidnych i wartościowych robotników. Płace w kopalniach angielskich, zbyt niskie dla robotnika angielskiego, dla nich są nie do pogardzenia, bo we własnym kraju nie mogliby nawet marzyć o podobnych zarobkach. Inwazja elementu irlandzkiego na Anglię byłaby słuszną i sprawiedliwą, gdyby traktowano Irlandczyków na równi z obywatelami angielskimi. Skoro już tak jest, że obok biednej Irlandii znajduje się kraj, którego ziemia kryje olbrzymie bogactwo węgla, którego nikt nie chce wydobywać, to dlaczego ludzie z sąsiedniej wyspy nie mieliby tu przyjść, aby ten węgiel eksploatować, oczywiście dla siebie. Jeżeli jednak rząd angielski zdecydował się ich sprowadzić, to nie zrobił tego bezinteresownie — po prostu chciał zapobiec katastrofie. Tak samo zresztą nie zamierza pozwolić tym ludziom na wybór innej pracy, która by im lepiej odpowiadała niż praca w kopalniach.

W Anglii daje się również odczuwać brak

ludzi chętnych do ciężkiej pracy domowej, do posług w szpitalach i przytułkach. To spowodowało, że Irlandkom zatrudnionym tu w czasie wojny przyznano prawo pobytu i że wydano nadzwyczajne zarządzenie, na mocy którego werbuje się robotnice tego typu we wszystkich krajach Europy. Oczywiście tam, gdzie rządy pozwalają na emigrację swym obywatelom, którzy, zamiast przyczynić się swą pracą do wzbogacenia własnego kraju, wolą służyć krajom bogatszym.

ŚRODKOWY WSCHÓD

W „The Statesman and Nation” ukazały się, w związku ze sprawą Palestyny, interesujące uwagi na temat polityki angielskiej na Środkowym Wschodzie. Zdaniem autora artykułu, strajk robotników pracujących na tamtejszych terenach naftowych, który na jakiś czas wstrzymał zupełnie produkcję, wyglądał na to, jakby Rosja chciała dać do zrozumienia Anglii, że popełniła grubą nietakt nie zapraszając jej na tak żywo ją obchodzącą konferencję w sprawie Palestyny. „Jeżeli rząd angielski ludził się dotąd, że uda mu się na Środkowym Wschodzie stworzyć blok antyrosyjski, to chyba to ostatnie ostrzeżenie nie będzie bez wpływu na dalszy rozwój jego polityki na Wschodzie? Pociągnięcie rosyjskie było dostatecznie silne, aby przekonać Anglię, że dostawy benzyny ze Środkowego Wschodu mogą być w każdej chwili zupełnie wstrzymane. Wszystkie ewentualne fortyfikacje polityczne wymierzone na tym terenie przeciw Rosji okazały się bezskuteczne wskutek błędnej polityki, jaką stosuje wobec tu-tejszej ludności Wielka Brytania. Prowokowanie Rosji, bez jednoczesnego uzdrowienia stosunków społecznych i poprawy warunków życiowych ludności, jest równoznaczne z przegrana zamierzonej rozgrywki, nim się jeszcze ją zacznie. Korzyści płynące z pobytu wojsk angielskich na tym terenie, zgarniają tylko bogaci efendi, ale biedna ludność Iranu, kraju nędzy, nie ma już złudzeń, że Iran interesuje Anglię tylko jako źródło nafty i wygodne lotnisko. Powstająca tam inteligencja i tworzące się związki zawodowe, które reprezentują masy, są przeciwnie tworzeniu jakiegoś bloku pod egidą Anglii. Dla nich socjalizm angielski jest synonimem oszustwa, dlatego też uważają, że czas najwyższy, aby szukać bardziej rewolucyjnych sprzymierzeńców”. Artykuł (który posłużył mi do tej notatki o Środkowym Wschodzie) kończy się stwierdzeniem: „Anglicy powinni sobie wreszcie uprzytomnić to, o czym dobrze wiedzą Rosjanie, że Anglia nie może w żadnym wypadku liczyć na państwa arabskie i Persję”.

UPIORY

Córka Mussoliniego Edda, żona hrabiego Ciano, którego Mussolini skazał na śmierć za „zdradę ideałów faszystowskich”, wróciła z wygnania (z wyspy Lipari) do Rzymu.

Udzielając wywiadu reporterom angielskim, Edda Ciano zaznaczyła, że nadal pozostanie faszystką, ale wycofa się z życia politycznego, gdyż świat „ma już dość Mussolinich”. Mówiąc o Mussolinich miała prawdopodobnie na myśli wszelkiego rodzaju „dyktatorów”, a nie członków swojej rodziny, gdyż ci, poza ojcem, ludzie zupełnie przeciętni, nie odznaczyli się, tak w sensie ujemnym jak i dodatnim, niczym szczególnym. Jedynie chyba hrabia Ciano, członek rodziny Mussolinich, po zawarciu związku małżeńskiego z Eddą, odznaczył się tym, że dzięki właśnie temu małżeństwu i „swym ideałom faszystowskim” zdobył kolosalny majątek.

Zamieszczenie tego wywiadu w prasie angielskiej, bez komentarzy i w tonie raczej sympatyzującym z Eddą Ciano, spotka się niewątpliwie z protestem angielskiej opinii publicznej. Wypowiedziane, na jakiś czas przed końcem wojny, słowa Churchilla, że „wojna straciła swój charakter ideologiczny”, przyjęła ludność angielska z rozczarowaniem. Dla niej, która myślała przede wszystkim o zgnieceniu faszystów, wojna nie mogła stracić ideologicznego charakteru. Jest już zresztą zmęczona nie tylko wszelkiego rodzaju Mussolinimi, ale nawet pozostałymi cieniami — upiarami faszystów, z którymi i dziś jeszcze trudno jest dać sobie radę — czy to weźmiemy sąd w Norymberdze, czy urzędy niemieckie w amerykańskiej i angielskiej strefie okupacyjnej, czy wreszcie nawet samą Anglię. Zdarzające się tu wypadki nabywania za wysoką cenę pamiątek po Hitlerze, aby je zachować dla potomnych, budzą wśród wielu Anglików zrozumiałe uczucie oburzenia i wstydu. Nie mniejsze poruszenie opinii wywołała historia znad pięknych jezior włoskich, gdzie to wyżsi oficerowie angielscy spędzali czas na przejażdżce z żonami zmarłych synów Mussoliniego. Tak się złożyło, że w czasie przejażdżki łódź się przewróciła i ktoś z towarzyszy utonął. Dlatego wiadomość o przyjaznych stosunkach oficerów angielskich

z arystokracją faszystowską dostała się do prasy, wywołując zdziwienie i niesmak wśród społeczeństwa angielskiego.

Wywiad z Eddą Ciano jest jeszcze cięższym przewinieniem wobec opinii publicznej, tym bardziej, że dziennikarz angielski z własnej inicjatywy złożył wizytę osobistości ze świata faszystowskiego. Redakcja pisma angielskiego wywiad ten zamieściła na pierwszej stronie z fotografią ojca i córki, a podając wypowiedzi Eddy Ciano w rodzaju: „Jestem nadal faszystką, dlaczego nie miałabym nią być?”, albo „Nikt nie zwyciężył w tej wojnie” — nie opatrzyła ich nawet komentarzem. Oczywiście, że faszyci, dla których zwycięstwo jest równoznaczne z ujarzmieniem i wyniszczeniem nrodów, nie mogą inaczej sądzić. Cienie dawnego imperializmu i upiory faszystów wracają z uporem, przyczaiwszy się w ministerstwach spraw zagranicznych i w programach politycznych różnych partii. One to sprawiają, że owoce zwycięstwa są nieraz bardzo cierpkie.

FRANCUSKIE ASPIRACJE

Zdaje się, że sama Francja nie ma już dziś złudzeń, że odzyska swoją dawną pozycję stolicy świata. Odbywa się tam teraz konferencja pokojowa, zjeżdżają osobistości z całego świata, ale uwagę Francji bardziej, niż uregulowanie spraw międzynarodowych, absorbują jej sprawy wewnętrzne — niemożność znalezienia jakiejś własnej drogi, zdecydowania się na wybór między „Wielkością” a „Odbudową”. Jeżeli Francja wyjedzie na drogę odbudowy, będzie musiała zrezygnować z aspiracji odzyskania za wszelką cenę dawnej potęgi, zabrać się do twardej i upartej pracy.

Wszelka inicjatywa, jaką próbowała ona rozwinąć na terenie międzynarodowym, nie miała dotychczas powodzenia i spotkała się raczej z negatywnym ustosunkowaniem innych państw. Ostatnich, nieoficjalnie francuskich prób de Gaulle'a, „tej prywatnej osoby, publicznie mówiącej o tym jaka powinna być polityka zagraniczna Francji”, też nie przyjęto przychylnie.

De Gaulle chciałby z dwu odchodzących w cień, upadłych wielkości, Anglii i Francji, stworzyć jedną potęgę. Ale odwracanie uwagi społeczeństwa od trudności wewnętrznych, z jakimi boryka się kraj, po to, aby otworzyć przed nim złudne horoskopy wielkości, to zawsze zły znak i wiadomo, że nic dobrego państwu nie przynosi.

HISTORIA DUŃSKA

Tylko niektóre kraje poznały na własnej skórze, co to są Prusacy. Dziś będzie mogła tego również doświadczyć, mimo skończonej wojny, ludność Szlezwicku, dawnej prowincji duńskiej. Szlezwik, zagrabiony przez Bismarcka, od 1866 roku należał do Niemiec. Ludność, która przez cały ten czas dzielnie walczyła z zalewem niemieckim, utonie dziś w fali niemieckiej. Anglia bowiem, nie chcąc mieć w swojej strefie okupacyjnej elementu niepożądanego, skierowała tam Prusaków. Fakt, że w obecnej chwili jest w Szlezwicku przynajmniej większość niemiecka, ma wprost historyczne znaczenie — grozi zupełnym zniesieniem tej ziemi, tym bardziej, że władze angielskie przyznały Niemcom te same prawa, co ludności miejscowej.

Bogusław Kuczyński

Polska współczesna

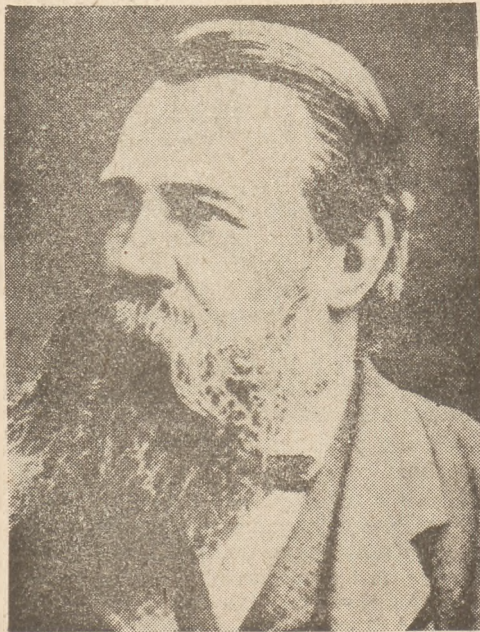
MUZEA

Z początkiem bieżącego roku było w Polsce 105 muzeów publicznych (bez przemysłowo-technicznych), z których znaczna większość przypada na muzea państwowe i samorządowe. W podanej liczbie jest 48 muzeów przedwojennych, 38 poniemieckich, na ogół drobnych, zniszczonych zbiorów regionalnych na ziemiach odzyskanych, 3 podworskie. Personal muzeów liczy niespełna 500 osób.

Najliczniejszą grupę stanowią muzea ze zbiorami z dziedziny etnografii (61). Kolejne miejsca przypadają sztuce (54), przemysłowi artystycznemu (46), historii (41), prehistorii (37), przyrodzie (33), archeologii (17) i numizmatyce (12). Jak z tego wynika, górę biorą zbiory o charakterze historycznym (historia, prehistoria, archeologia, numizmatyka).

Najwięcej muzeów jest na Śląsku Dolnym (18), po czym w województwie krakowskim (13), nie ma w ogóle muzeów w województwie białostockim. Uderza wielka ilość zbiorów z dziedziny etnografii, prehistorii, historii, archeologii i sztuki na Śląsku Dolnym.

34 muzea posiadają fachowe biblioteki. (Źródło: Wiadomości Statystyczne Głównego Urzędu Statystycznego, kwiecień 1946 r. zeszyt 4).



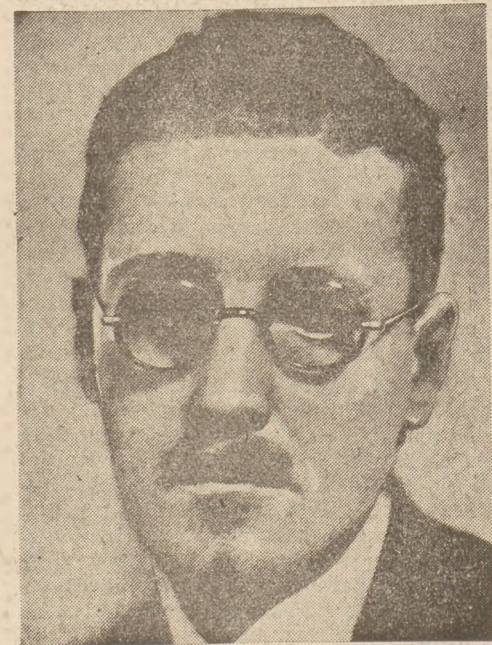
FRYDERYK ENGELS

przyjaciół i współpracownik Karola Marxa, współtwórca socjalizmu naukowego. W sierpniu minęła 51 rocznica jego śmierci.



CHRISTO BOTEW

Bulgaria obchodziła uroczyste siedemdziesiątą rocznicę śmierci tego poety i rewolucjonisty.



JAMES JOYCE

znany pisarz angielski, zmarł w czasie wojny.



H. G. WELLS

znakomity pisarz angielski, zmarł 13 sierpnia br.

rys. E. Głowacki

